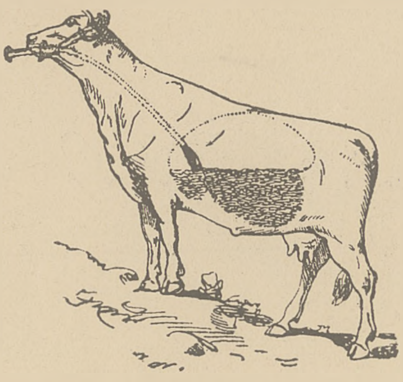
WIEŚ i DWÓR



TOWARZYSTWO AKCYJNE

NORBLIN, B-CIA BUCH i T. WERNER

W WARSZAWIE



WYROBY PLATEROWANE STYLOWE

MAGAZYNY WŁASNE:

W WARSZAWIE, PETERSBURGU, MOSKWIE, ODESIE, CHARKOWIE, SARATOWIE, SAMARZE, WILNIE, MIŃSKU GUB., TYFLISIE, BAKU, RYDZE, KIJOWIE, ŁODZI I PODCZAS JARMARKU W NIŻNIM NOWGORODZIE I IRBICIE.

ROK II. WARSZAWA, DNIA 15 MARCA 1913 ROKU. ZESZYT V i VI.

Wieś i Dwór

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.

ŚWIĘCONE.



Z obrazu Wojciecha Piechowskiego.

Szanownym Czytelnikom i Przyjaciołom naszego pisma zasyłamy w uroczystej chwili Zmartwychwstania Pańskiego życzenia Świąt wesołych.

TRADYCJA I SZTUKA.

Z datą wielkich świąt dorocznych, po za uroczyśtościami kościelnemi, obowiązującemi cały świat chrześcijański, łączy się także wiele tradycji zwyczajowych, charakteru czysto już etnicznego. Tradycje Wielkanocy z obfitem w mięsiwa i ciasta „Święconem" na ziemiach całej Polski są niezmiernie stare, bo wiążą się jeszcze z przeżytkami wierzeń pogańskich. Istotnie chrześcijańska Pascha przypadała właśnie na chwilę wielkich świąt wiosennych, toż ludy słowiańskie przyjmując nową wiarę, zatrzymały jednak niektóre obrzędy wiary dawnej, i radośny dzień Zmartwychwstania Pańskiego zespoliły z prastarym zwyczajem radosnych uroczystości na cześć odradzającej się wiosny. Wyraźne i niewątpliwe co do pochodzenia swego ślady takiego skojarzenia przechowują się do dnia dzisiejszego w całym szeregu szczególnych obrzędów świątecznych.

Zresztą działo się tak i gdzieindziej. Wszakże na tle tym już w wieku II, powstały spory co do dnia ustalenia święta Wielkanocnego. Dopiero sobór nicejski w roku 325 zdecydował rzecz ostatecznie, przyczem stronnicy chrześcijan żydowskich, to jest tak zwani quartodecimianie, uznani byli za heretyków.

Powszechnie znany ten szczegół z historji Kościoła, jest wymownym przykładem, jak w sprawie kształtowania się obrzędów, pierwiastki semickie, wiążące pierwotne tak ściśle Nowy Zakon ze Starym ustępowały przed duchem do niedawna pogańskich ludów aryjskich. Występuje to jeszcze jaskrawiej, jeżeli chodzi o obrzędy, raczej obyczajowe, niż ściśle religijne.

Przychodzą dni, w których ludzkość chrześcijańska, pogrążona w pobożną zadumę, rozpamiętywa pamiątkę Odkupienia i modlitwę przed Tron Najwyższy w pokorze i skrusze zanosi. Wielki Tydzień upływa na skupieniu, w najwyższem podniesieniu uczuć religijnych i najgłębszej prostracji ducha.

Ale oto rozbrzmiewa spiż dzwonów radosną nowiną: Chrystus Zmartwychpowstał! Ludy radości swej dają wyraz w taki sposób, jaki najistotniej odpowiada ich temperamentowi zwyczajom i nawyknieniom. Tak to się spełniło, że radość pierwszych chrześcijan słowiańskich z powodu Zmartwychwstania nie wiele różną była w swych objawach od objawów radości niedawnych czcicieli Peruna, wybuchającej żywiołowo z powodu, budzącej się do życia, natury.

Zastawiano stoły mięsiwem i ciastem, a potem szło to tradycyjnie z pokolenia na pokolenie. To pewna przecież, że zwyczaj urządzenia „Święconego" z barankiem, z nieodzownemi kiełbasami, szynkami, prosięciem, trzymającem jaje w ryju, pieczonym indykiem, głowizną ślicznie białem sadłem i zielonym barwinkiem udekorowaną, z rzędami bab przysadkowatych lub wysmukłych, a placków ogromnych, a mazurków najwymyślniejszych jest czysto naszym zwyczajem narodowym.

Po Erazmie Ciołku, kanoniku krakowskim, a następnie biskupie płockim, słynnym humaniście, prawdziwie renesansowym mężu z XVI wieku, pozostała przechowywana dotąd w Kra-

kowie, wspaniała księga rękopiśmienna, ozdobiona licznemi iluminacjami. Miniatury tej księgi szacownej, przedstawiają obrzędy kościelne i obyczajowe. Otóż między tymi obrazkami, nawiasem mówiąc, wcale niepospolitej, jak na owe czasy wartości artystycznej, a przedewszystkiem niesłychanie dosadnymi w charakterystyce ludzi i rzeczy, jest ilustracja wyobrażająca „święcenie święconego".

Ksiądz w stule kropi wodą święconą stół, białym obrusem nakryty. Na stole baranek, placki i t. d.

Jakiż to bezcenny dokument, przedstawiający ów obyczaj świąteczny naszych przodków! Jakaż to przepyszna ilustracja, dająca świadectwo dawności tych uczt tradycyjnych! Jakież wymowne dopełnienie plastyczne do tak licznych w wielu miejscach zapisek kronikarskich, opowiadających o hekatombach bydła rogatego, trzody chlewnej, drobiu, tudzież zwierza i ptactwa leśnego, bitego rok rocznie w pańskich dworach na święcone wielkanocne.

Zmieniał się styl architektury komnat, zmieniał gust w zastawie i przyrządzeniu potraw, zmieniały się kostjumy osób, przysmaki te spożywających, ba, zmieniły się nawet ich apetyty. Rzeczywiście, czy to, że zmniejszyła się pojemność żołądków ludzi współczesnych, czy to, że ludzie współcześni utracili dawniejszą w jedzeniu wyćwikę, to pewne wszelako, jako już dziś nie słychać o baranach i wołach cało pieczonych, a podawanych na stół ze złoconymi rogami i podlanych obficie szafranem, o czem z uznaniem wspominają starzy kronikarze, nie mniej przecież rzecz w treści pozostała ta sama.

Nieznany jakiś mistrz z XVI wieku, przekazał nam obraz, jak wyglądało święcone za jego czasów, a dalej malarze epok późniejszych dziełami swemi stwierdzali ciągłość tradycji w obyczajach społeczeństwa.

Zmarły niedawno, a niedoceniony stanowczo artysta nasz, Wojciech Piechowski, w reprodukowanym tu obrazie swoim dał znamienną w tym duchu scenę z ostatniej ćwierci zeszłego stulecia.

Jest to dokument—najwierniejsze odbicie pewnych nastrojów i pewnego środowiska. Piechowski był malarzem życia wsi i życia dworku wiejskiego, z którego sam wychodził. Czuł wieś i rozumiał ją do najmniej uchwytnych przejawów, a obdarzony wybitnym darem charakteryzowania, umiał być jej wyrazicielem niezwykłym. Okoliczność ta daje mu też niezwykłe stanowisko w sztuce polskiej. Utworami takimi, jak „Oczepiny", „Toast", „Rezurekcja" (nagrodzony medalem na wystawie paryskiej) i innymi mającymi za temat życie dworu i chaty wiejskiej, utrwalił dla potomnych plastyczne odbicie pewnego odłamu charakterystycznego życia narodowego w swojej epoce. Nadzwyczajna prostota, szczerość i bezpośredniość wyrazu, przy owej wspomnianej wyżej niepospolitej zdolności charakteryzowania, odbiciu temu nadają barwę i wypukłość, jakiej by mieć nie mogły nawet najlepsze fotografje, ani obrazy innych artystów, może nie gorszych od Piechowskiego pod względem wyrobienia technicznego, lecz pozbawionych w danym zakresie, takiej, jak on właśnie, intuicji.

Sztuka takich, jak Piechowski, artystów, stoi na straży tradycji życia narodowego.

J.

Pod Lipskiem.

(Fragment z poematu).

Trzeci dzień wyły działa i marły gwożdżone,
Broni ręcznej i męstwu zwierzając obronę,
Więc cesarz kazał naszym...
Wróg zewsząd osaczał,
Czołgał się pagórkami, na doliny staczał,
Zaciągając półkolem z południa i wschodu
Sznurami zwartych kolumn, jak siecią niewodu
Coraz ciaśniej...
Aż sięgnął skrzydłami wylotu
Bram miasta, pragnąc przeciąć drogę do odwrotu
Orłom, zdziesiątkowanym przez ołów i zdradę...
Więc cesarz nam osłonić kazał rejteradę,
Póki za most ostatnie nie przeciągnie działo.
Nam kazał z stutysięczną zmagać się nawałą,
Bo wiedział, że z tych ludów na krwawej płaszczyźnie
My jedni szliśmy za nim z myślą o ojczyźnie,
Więc rzucił wielką miłość ojczystego proga
I trafił...
Słońce weszło na horyzont chmurny —
Ziemia dymiła na kształt zapalonej urny
Ofiarnej nad stosami poległych i rannych —
Bój trwał... Strzały padały w salwach nieustannych,
Żołnierz mierzył, brnąc w miazdze ciał, krwi i ołowiu,
Klękał, bron na zastygłym opierał tułowiu,
Zabijał i sam ginął wśród granatów blasku,
Osypany pociskiem, jak grudkami piasku,
Zanim mu krew przelaną zapłacono krzyżem...
Nieprzyjaciel parł naprzód, świecąc armat śpiżem.
Już dzwoniła po murach kartaczy ulewa,
Rekoszetem w lipowe uderzając drzewa,
Już widać było zbliska tłumy kajzerników,
Biegnących w przełaj ogniem zarzuconych szyków —
Gdy adjutant sztabowy nadbiegł do szeregów,
Stojących prawym flankiem nawprost Plejssy brzegów,
Z rozkazem: że ma bronić miasto od zajęcia
Korpus ósmy, będący pod dowództwem księcia.
Książe-wódz przyjął rozkaz, nie wyrzekłszy słowa.
Skinął... Rozbrzmiała krótka komenda wojskowa —
Zsiadł z konia, ręką wskazał ku Peterskiej bramie
I, wziąwszy krok podwójny, biegnąc ramię w ramię,
Wiódł sam garść wiary w ogień, pogodny, spokojny —
Rzekłbyś: danser z danserką na salonach wojny.
Uderzono pierś o pierś.

Drugi pułk piechoty
Zepchnął wroga bagnetem i osadził płoty.
Piętnasty, pod Rybińskim, licząc ludzi dwieście,
Dopadł bramy, łańcuchem osłonił przedmieście
I prażył, następując...
A tak dobrze celił,
Że się wnet plac od białych mundurów zabielił
I szyki Colloreda, wysunięte klinem,
Zwinęły się, jak owad, lany wrzątku płynem,
W kłąb — warcząc, zostawiwszy śmierci na zagładę
Z ciał ległych i ranionych krwawą barykadę,
Robiło się przestronniej, lecz bój wrzał zażarty.
Książe, mając w odwodzie Nadwiślański czwarty,
Dojrzawszy, że ćma jazdy szarżuje w podskokach,
Ostatnie bataljony podniósł w czworobokach,
A sam, pluton krakusów wysunąwszy szpicą,
Pognał wichrem, uderzył w środek błyskawicą!
Rozdarł!
W dymach przebiegał oddział furażerek,
Migocąc wśród zielonych mundurów i czaków,
Niby w koszonej łące pęk rozkwitłych maków.
Leciał... tratował... Z kopyt bryzgała krew, mózgi.
Książę nie dobył szabli; siekł pręgiem szpicrózgi
W pyski zabiegających mu drogę huzarów,
A ci, zdzierając konia, ślepli, jak od czarów.
Niebo spojrzało chwilę słońcem z pod Austerlitz
Na pokotem leżący stos ciał, broni, terlic,
Jakby chcąc się napatrzeć tej walce olbrzymów —
I znikło, przysłonione nowym słupem dymów:
Z boków od lewej strony ryknęło dział dwieście
W Halską bramę!
Wróg wtargnął, bój toczył się w mieście,
Kolumny sprzymierzonych, zalawszy ulice,
Złamały Macdonalda i parły ku rzece...
Nagle ziemią zatrzęsło, jak w sądu godzinę!
. . . .
Jęknął huk, jakby samo piekło biło w dzwony!
Most wyleciał w powietrze...
ON był ocalony,
Bezpieczny za nurtami wezbranej Elstery...
Tu—marli ci z pod Novi, Wagram, Samosjery,
Ci wierni...
Stwórca spojrzał w przeznaczenia księgi
I zesłał śmierć walecznym, zwalniając z przysięgi.

El.

TADEUSZ CZACKI.

W setną rocznicę zgonu.

Nie zbywa nam obecnie na rocznicach. Początek bowiem minionego stulecia był istotnie okresem odrodzenia narodowego i znalazł swój plastyczny wyraz w wojnach napoleońskich i Księstwie Warszawskiem, w uniwersytecie wileńskim i liceum krzemienieckiem, w organicznych umysłach i w organicznych pracach Królestwa Kongresowego.

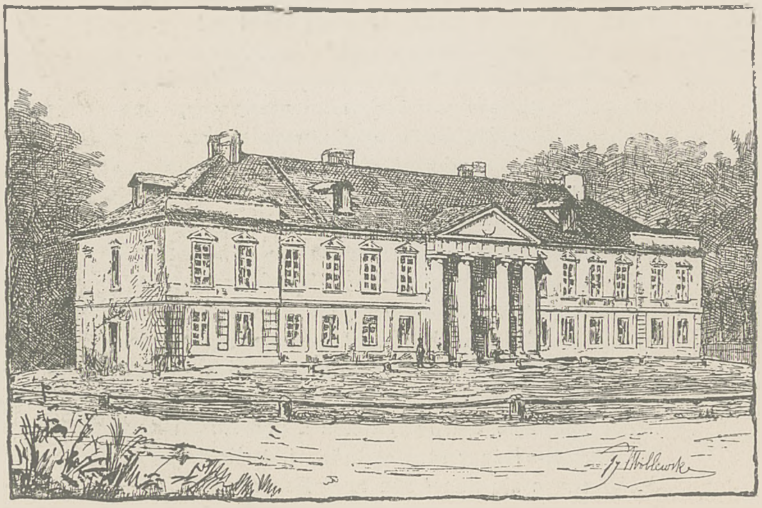
Hasło „praca organiczna" rozlegało się wielokrotnie po upadku Rzeczypospolitej, lecz nigdy nie było tak gruntownie rozumiane i w tak rozległej skali wykonywane, jak wtedy, gdy rekonstrukcji ekonomicznej towarzyszyła polityczna, gdy siły duchowe narodu wystrzeliły wysoko w górę i pozostawiły nam dziedzictwo, którem żyjemy w znacznym stopniu po dzień dzisiejszy.

Wśród mężów, którzy w ostatniej ćwierci XVIII-go i w pierwszej ćwierci XIX-go wieku zapisali się na kartach dziejów Polski, imię Tadeusza Czackiego (1765 — 1813 r.) jaśnieć zawsze będzie umiłowaniem dobra publicznego, ofiarnością, niezmordowaną inicjatywą i energją, nadewszystko zaś tak rzetelną zasługą na polu oświaty i edukacji publicznej, że nigdy zapomnieniu uledz nie może, że jest wiekopomne.

W ubiegłym miesiącu, 20-go lutego, przypadła właśnie setna rocznica śmierci Czackiego; niegdyś obchód żałobny po nim odbywał się z wielką uroczystością w Krzemieńcu każdego roku, aż do przeniesienia liceum wołyńskiego do Kijowa. Był to dzień smutku i żałoby dla całego Wołynia.

Cześć dla znakomitych mężów była po wszystkie czasy, od głębokiej starożytności, nie tylko dowodem wdzięczności, która jest jednem z najszlachetniejszych uczuć serca ludzkiego, lecz jeszcze i wyrazem dziejowej samowiedzy, która w jeden łańcuch spaja szereg mijających pokoleń. Rzućmy więc dziś okiem na postać i dzieła Tadeusza Czackiego.

Żywe poczucie obowiązku obywatelskiego zdradził Czacki w zaraniu: młodzieńcem będąc, z własnych funduszów utrzymywał szkółkę dla sierot w Porycku. Bardzo też wcześnie, bo w dziewiętnastym roku życia, widzimy go już na arenie służby publicznej, jako członka sądów zadwornych koronnych. Ale żądny wiedzy i zasługi młodzieniec, otrzymawszy tylko domowe wychowanie, odczuwał brak wiadomości do dokładnego pełnienia służby publicznej i rączo rwał się do pracy, trawiąc czas wolny od obowiązków w bibljotece Załuskich i w archiwum głównem, szukając rady i przewodnictwa Albertrandiego i Naruszewicza, zwłaszcza pod względem zgłębiania życia politycznego i wewnętrznej organizacji rządu.

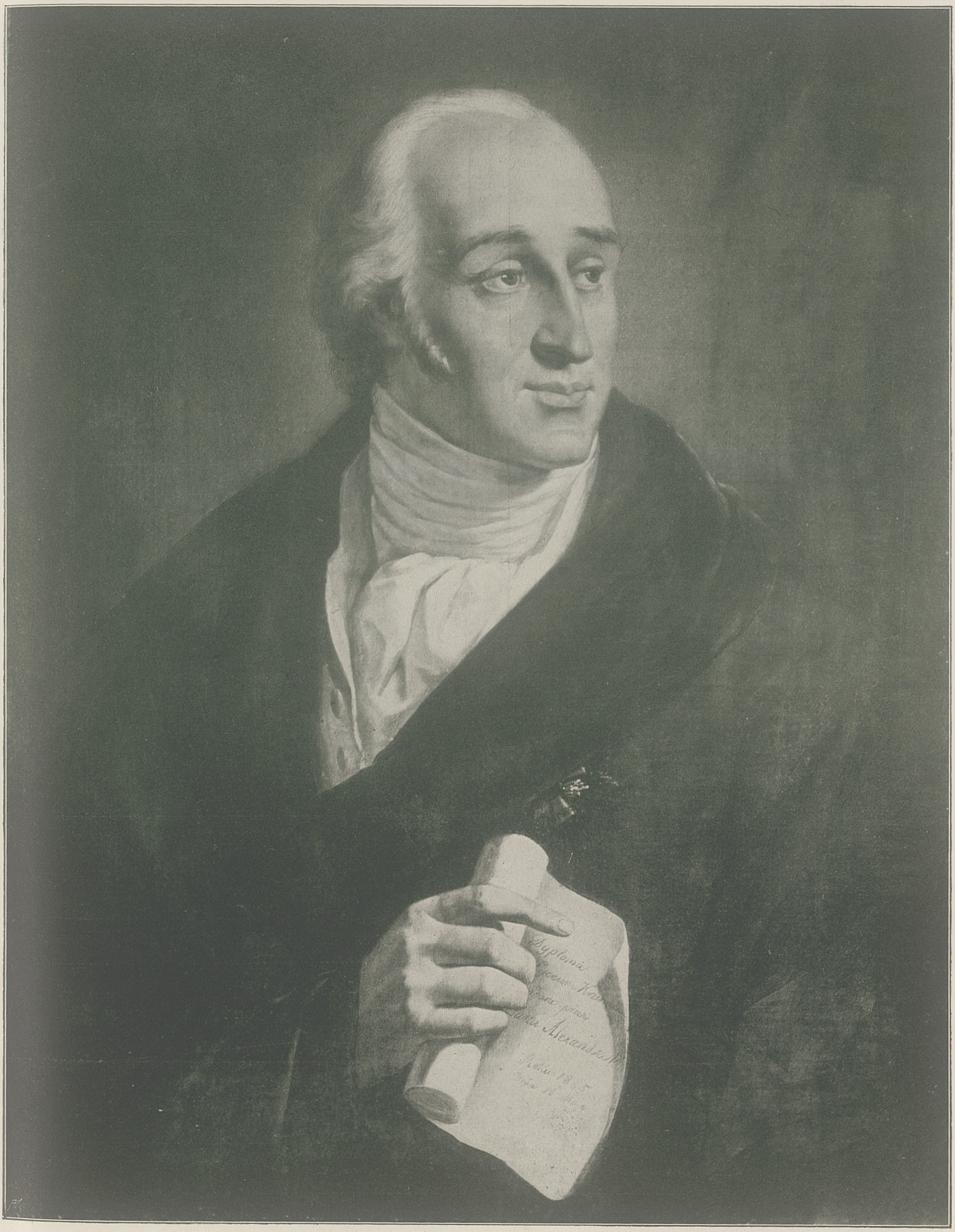


Pałac w Porycku hr. Czackich.

Czacki, ten niepospolity mąż stanu, organizator wychowania publicznego w prowincjach ruskich i autor licznych dzieł naukowych, które, jak np. „O litewskich i polskich prawach, ich duchu, źródłach, związku i t. d.", zyskały mu imię uczonego był bowiem samoukiem. Spędził życie w kraju i z niego czerpał wszystko.

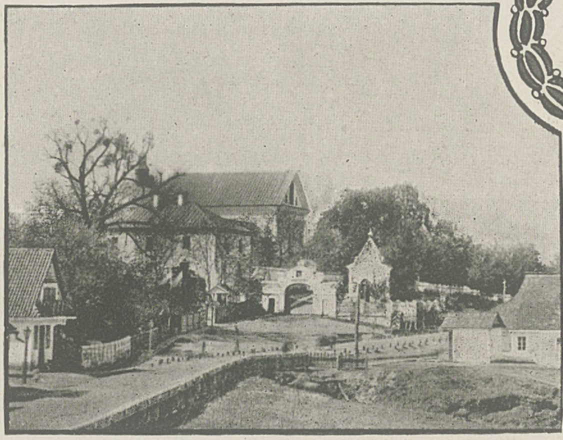
„Nie byli winni obcym krajom tak dostojnych uczuć ani Czacki, ani Małachowski — mówił Stanisław Potocki po śmierci Tadeusza — obaj na ojczystej wychowani ziemi, nie w zagranicznych zaczerpnęli je szkołach, lecz we własnej znaleźli duszy. W podeszłym dopiero wieku Małachowskiego, w dojrzałym Czackiego, własna cnota i klęski ogólne przymusiły szukać za granicą schronienia. Zgoła dowiódł Małachowski z Czackim, że najwyzwoleńszy sposób myślenia, że wysoka nauka wzrość i dojrzeć u nas mogą bez obcej pomocy".

Widzimy tedy Czackiego niezmordowanie czynnym w ostatnich latach Rzeczypospolitej. Zasiada w Komisji skarbowej koronnej, która mu porucza swoje najważniejsze prace, wydaje wielką mapę hydrograficzną całego kraju i łoży na to dziesięć tysię-



TADEUSZ CZACKI.
Według portretu ze zbiorów Ordynacji hr. Krasińskich.

KRZEMIENIEC.









B. kościół Reformatorów po-bazyljański.
Widok ogólny Krzemieńca.

Góry Czercza i Bona.
Dawny kościół O.O. Franciszkanów.

cy dukatów, zwiedza wszystkie ziemie Rzeczypospolitej, celem odnalezienia soli, tak potrzebnej dla Polski po utracie Bochni i Wieliczki, spisuje dokładnie i uczenie klejnoty koronne, robi inwentarz zamku krakowskiego, pisze traktat o handlu polskim z Anglją, Rosją i Portą otomańską i t. d.

Obok pomysłów, pracowitości i zdolności, cechuje go odwaga cywilna. Pamiętny jest zwłaszcza fakt, kiedy w 1787 r. energicznie powstał w Komisji skarbowej przeciwko nabyciu pałacu kosztem Rzeczypospolitej dla posłów cudzoziemskich. Była to zaś epoka, w której wprawdzie stronnictwo reform stało się już siłą poważną i świetlana zorza rzucała jeszcze smugi po widnokręgu, lecz mimo to, wiekowe nałogi anarchji, samowoli i samolubstwa były jeszcze tak groźne i do wszelkiej ostateczności zdolne, że w walce z nimi nie jednemu opadały ręce i obawa o przyszłość zdejmowała serca. Trzeba było stykać się i pracować w jednych instytucjach z ludźmi, „u których egoizm Bogiem, niewiadomość, zazdrość i przeszkadzanie najlepszym zamiarom—cechą“ (Poniński); zalewał się więc goryczą, ale szedł naprzód, ponieważ „własne przeświadczenie o dobrej chęci najświetniejszą staje się trosk i prac nagrodą“.

Po upadku Rzeczypospolitej, Czacki oddaje się pracom naukowym, zwiedza wszystkie ziemie polskie do Prus odpadłe, udaje się do Królewca, dla poznania tajnego archiwum krzyżackiego, z którego cenne wypisy do historji polskiej poczynił, był jednym z głównych założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie.

Wśród takich zajęć i okoliczności nadszedł pamiętny dla dziejów oświaty na Litwie i Rusi r. 1803, w którym Aleksander I, pełen najlepszych wtedy zamiarów względem zreformowania państwa, odnowił Akademię wileńską. Nazywa się ona odtąd uniwersytetem, który stał się też kierowniczą instytucją wszystkich zakładów naukowych w krajach, przyłączonych do Imperjum rosyjskiego.

Adam Czartoryski otrzymał kuratorstwo wydziału naukowego wileńskiego, Czacki zaś został wizytato-

rem szkół w guberniach: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej.

Tu zaczyna się mianowicie najgorętszy i może najpłodniejszy okres w życiu Czackiego; od tej chwili imię jego przechodzi do potomności, jako znakomitego wychowawcy, wznoszącego z niestrudzoną energją budowę edukacji publicznej.



Pomnik Tadeusza Czackiego w kościele pp. Wizytek w Warszawie. Rzeźba Oskara Sosnowskiego.

Liceum krzemienieckie nazywało się właściwie gimnazjum wołyńskiem. Czacki, słusznego będąc zapatrywania, że uniwersytet wileński, z powodu swojej odległości zaspokoić nie może potrzeb wyższej oświaty u młodzieży z prowincji ruskich, zwłaszcza uboższej, uczynił z gimnazjum wołyńskiego instytucję kształcąco - wychowawczą, podzieloną na „klasy“ i „kursy“, obejmującą program średnich i wyższych zakładów naukowych. Cokolwiekby o uczelni w tej postaci i pedagogicznego stanowiska powiedzieć można, pamiętajmy, że była ona tworem nie urzędowego pedagoga, naśladującego wzory ustalone, lecz umysłu nawskroś samodzielnego, szukającego właśnie nowych form dla swej bogatej treści, była tworem miłującego kraj obywatela i wychowawcy, który nadawał czynom i instytucjom swoim oryginalne piętno.

Czacki był pod wielu względami wyznawcą filozofji XVIII wieku i głosił konsekwentnie zasadę, że użyteczność powinna być celem nauki szkolnej. Zadaniem szkoły nadewszystko być powinno przysposobienie użytecznych w każdym fachu ludzi i wyrobienie obywateli w całem znaczeniu wyrazu. Dlatego w programie wydzielił główne miejsce naukom przyrodniczym i ich zastosowaniu, dlatego, jako wizytator, do każdej szkoły i szkółki wprowadzał lub wprowadzić usiłował naukę ogrodnictwa, mechaniki praktycznej i *artis veterinariae*.

Konsekwentnie głosi Czacki maksymę, że zanim człowiek działać zacznie, powinien się do działania przygotować. „Gruba niewiadomość o swoich powinnościach— pisze — jest źródłem wszystkiego złego. Należałoby więc życzyć, ażeby młodzież ani do palestry, ani tembardziej do żadnych urzędów brana nie była, póki nie odbędzie dziesięcioletniego kursu nauk z powinności. Bez znajomości bowiem prawa natury, prawa politycznego i prawa narodów, bez znajomości ekonomji politycznej, tudzież ustawodawstwa krajowego, żaden dobrze edukowany obywatel obejść się nie może. Znajomość znowu literatury prowadzi każdego oświeconego człowieka do zamiłowania się w naukach, do formowania się na dobrego pisarza, a najbardziej do uchronienia się od pedantyzmu, wady największej, która odstrasza resztę ludzi od obcowania z uczonymi, nie umiejącymi położyć granic w tonie, z którym udzielać nawykli swoje nabyte wiadomości“.

Stanisław Szczepanowski, który napisał o liceum cenne i pełne natchnionych, wielkiej wagi spostrzeżeń studjum, dowodził też, że plan szkoły krze-

mienieckiej był bardziej nowożytny, aniżeli obecny plan gimnazjów austryjackich, że uwzględniał znakomicie nauki matematyczno-przyrodnicze, które są wielką potrzebą czasów nowych. System krzemieniecki—według niego—był wyrazem potrzeb nowożytnego społeczeństwa, gdy głównem zadaniem jest wykształcenie ogromnej armji producentów.

Gimnazjum wołyńskie i pod względem materjalnym było owocem inicjatywy, zabiegów i ofiarności Czackiego. Mianowicie, rząd na utrzymanie zakładu dawał tylko 5,000 rubli rocznie, co żadną miarą nie mogło wystarczać; Czacki więc, dawno już przygotowujący umysły obywateli i duchowieństwa, uzyskał teraz pozwolenie rządu na zbieranie składek wieczystych, które wynosiły rocznie 28 tys. rubli. Ruchliwością, własnym przykładem, nareszcie męzkością i prawdziwością swej niepospolitej wymowy, jednał dziełu hojnych zwolenników. „Czujecie—mówił,—że jedynie użyteczność daje miejsce ludziom między ludźmi i trwałość postanowieniom. Starajcie się więc być użytecznymi. Wdzięczność narodu zawstydzi uśmiechy poziomej tłuszczy trefnisiów, a hołd od ludzi cnotliwych będzie świetną prac naszych nagrodą“.

Wielkie dzieła nie przychodzą łatwo na świat. Instytucja lub dzieło sztuki, czyn owocujący lub książka, umysły zapładniająca, wiją się w długich mękach porodu. I Czackiemu bynajmniej nie szło łatwo. Spotykał na swej drodze nie tylko swarliwych i zawistnych, lecz i oskarżycieli, którzy, z pobudek politycznych, przedstawiali działalność jego, jako niebezpieczną. Musiał dwa razy osobiście się tłomaczyć w Petersburgu z czynionych mu oskarżeń i zarzutów. Za każdym jednak razem pozyskał sobie ufność Aleksandra I.

Wśród trosk, obaw i zgryzot, czerpał otuchę w przekonaniu, które tak wyraził w liście do syna: „Los nigdy dla mnie nie uśmiechał się. Od kilkunastu lat publiczne i prywatne przygody ciągłą idą koleją. Opatrzność może położy granicę nieszczęściom, może je zwiększy. Szanujmy wyrok Nieba, a pracujmy, aby sumienie nasze zaświadczyło, że jesteśmy godni mieć pomyślność w udziale. Już zbliżasz się do tego wieku, gdzie będziesz poznawał te wszystkie przyczyny, które na kraj nasz tak okropne spuściły klęski. Przekonasz się, że sama cnota jest wszystkiem; ona towarzyszyć powinna od pierwszych lat do grobu, ona jedna czyni, że człowiek nie może być zupełnie nieszczęśliwym“.

Czacki umarł przedwcześnie, w 48-ym roku życia.

Jakiegoż to rodzaju, jakiego typu był człowiek, jakiego historycznego okresu wytworem, który w nauce szukał przedewszystkiem pożytku, w zdrowym rozsądku — rady, w cnocie jedynej ucieczki wśród burz, klęsk i katastrof, które przepełniały jego epokę?

Kultem wiedzy natchnęła go filozofja encyklopedystów, szacunkiem dla rozsądku jego wiek logiczny i oderwanie rozumujący, nareszcie czcią dla cnoty—atmosfera moralna, ta atmosfera, w której Komisja edukacyjna układała swoje nieśmiertelne ustawy, wyprzedzając chlubnie na tem polu inne narody europejskie, w której wzrósł i dojrzał Kołłątaj, współtwórca liceum w Krzemieńcu, Jan Śniadecki, Chreptowicz, Ignacy Potocki, Staszic i ci wszyscy, którzy zadanie wychowania publicznego wiązali najściślej z odrodzeniem narodowem.

Piękny to, hartowny i polerowny był ten typ polski ostatniej ćwierci osiemnastego i pierwszej dziewiętnastego wieku i odtąd w pełni rysów już go nie ujrzymy. Niebawem bowiem zaleje świat ogromna nawałnica romantyzmu, punkt ciężkości cofnie się w głąb' ducha, wyobraźnia przywali rozsądek, uczucie najczarowniejszemi zakwitnie kwiatami, spokój ustąpi liryzmowi, równowaga psychiczna na długo zachwianą zostanie, męzki styl pisania i postępowania łamać i roztapiać się zacznie w żalu zapłakanego serca, na klasyczne kształty padną fantastyczne cienie nocy księżycowych, maska ludzka przybierze wyraz grozy, jasnowidzenia lub wniebowzięcia i nie odzyska już chłodnej i pewnej siebie powagi minionych czasów, wzburzone namiętności wymykać się będą z pod władzy umysłu, nadmiernie uwrażliwiony system nerwowy zawładnie całą istotą, łkanie i marzenie pogrąży duszę w mistycznym oceanie, widzenia i widziadła tamtego świata przesłonią otoczenie, serce zadrży w akordach wstrząsających i pogrzebowych.

Przywołujmy więc przy zdarzonej okoliczności na pamięć typy i wizerunki, epokę romantyczną poprzedzające, ażeby w nich szukać cech tej celnej męzkości, której nie dostaje naszym histerycznym czasom; przywołujmy zwłaszcza postacie takie, jak wizytator szkół na Rusi, który według wyrażenia Chmielowskiego w jego gruntownej o Czackim monografji — „jako człowiek czynu urzeczywistnił przyswojone sobie ideały wychowawcze“.

Wspominając z głębokiem uznaniem tę organiczną epokę w Polsce porozbiorowej, która początkiem swoim sięga jeszcze Komisji Edukacyjnej i Rady nieustającej, podziwiając klasyczną jasność umysłów przodujących tej epoki, zastrzedz się jednak wypada wobec już to niedojrzałych, już to opóźnionych wycieczek przeciwko romantyzmowi, które ponawiają się u nas od czasu do czasu i wywołują nowe zamieszanie w pozbawionej wszelkich kryterjów opinji.

Romantyzm polski był zjawiskiem na pół literackiem, na pół politycznem, pozostaje on w najbliższem pokrewieństwie z powstaniem listopadowem, które mu dało szczególną charakterystykę i rysy znamienne, niespotykane w romantyzmie germańskim i romańskim. Ten romantyzm jest tak ważnym faktem w naszej historji porozbiorowej, taką dominującą wartością wśród naszej umysłowości i cywilizacji, że trudno sobie wyobrazić, jakbyśmy wyglądali bez tej wielkiej zdobyczy, która przez długie lata podtrzymywała zarzewie wiary i nadziei i była jedyną ostoją ideału.

Nie dość na tem. Romantyzm dał styl naszej poezji i sztuce, wyniósł ją na stanowisko światowe, zrobił z niej wielki czynnik w życiu narodowem — Polska wypowiedziała się wtedy tak wzniośle i wszechstronnie, jak nigdy przedtem i nigdy po tem.

Tylko u nas mogą powstawać, znajdować posłuch i wywoływać spory takie pojęcia, jak to, że poezja złamała naszą energję, że w niej leży rodowód naszego niedołęztwa, oraz pozornego, papierowego patrjotyzmu bez realnej treści i t. p. Prometeiczna, prawdziwa poezja była wszędzie czynnikiem nie tylko piękna, lecz jeszcze życia, zapału i entuzjazmu. Znakomite narody zaliczają też swoich poetów do odrodzicieli, którzy pospołu z wodzami i mężami stanu, pospołu z obywatelami i żołnierzami, wywalczyli mu świetność, potęgę lub przywrócili wolność.

I składając w setną rocznicę zgonu należny hołd cieniom Tadeusza Czackiego, który jeszcze żył, działał i myślał w epoce przedromantycznej, pamiętajmy, że wielkie i większe narody dosięgły swego znaczenia i rozkwitu w syntezie potężnych i sprzecznych prądów, które wytworzyły ich historję duchową i polityczną. Ta synteza jest pełnią rozwoju, który przez sprzeczność dąży do siły i prawdy, przez różnorodność do jedności.

Bolesław Lutomski.



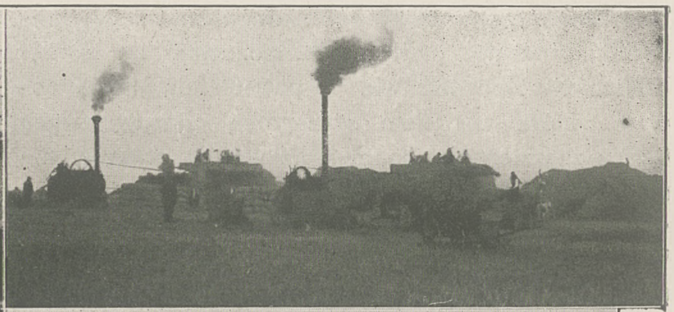
Sosna (fot. am. p. Leona Ostaszewskiego).

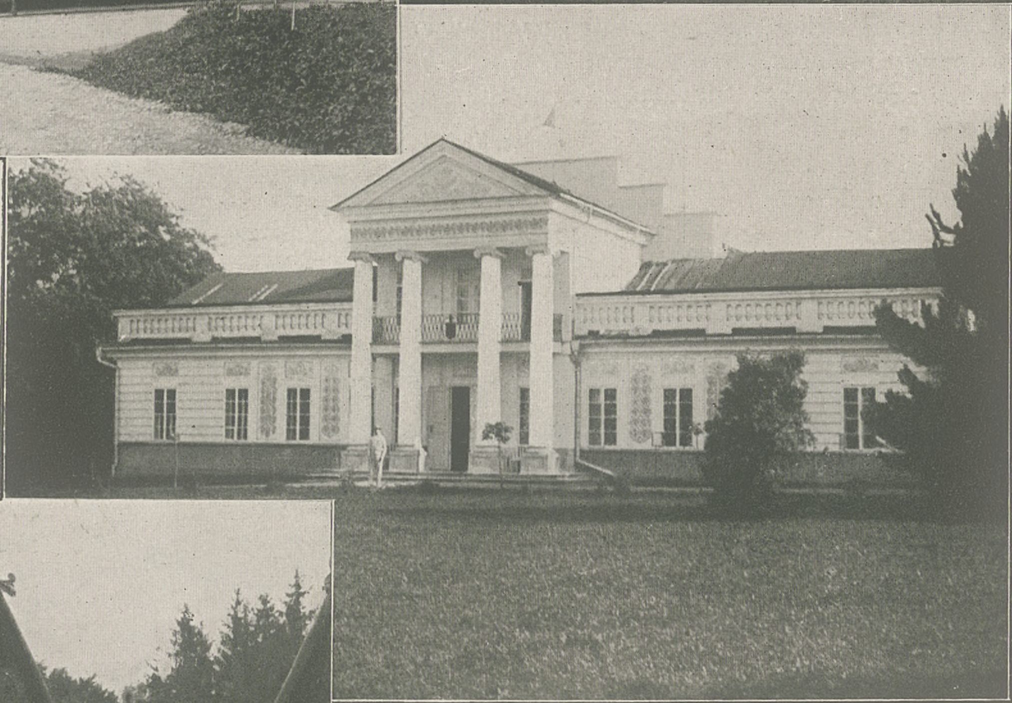
Zamieszczony tu piękny pomnik zasłużonego założyciela liceum krzemienieckiego, jest dziełem jednego z wychowańców tej słynnej uczelni. Istotnie Oskar Sosnowski, słynny nasz rzeźbiarz z pierwszej połowy zeszłego wieku, tam wykształcenie swoje odebrał. Urodzony około r. 1810 w gub. Grodzieńskiej, służył on pierwotnie wojskowo, aż do r. 1830. Poczem poświęcił się sztuce rzeźbiarskiej, studjując ją pod kierunkiem Raucha w Berlinie. Od r. 1845 rzeźbiarz nasz mieszkał stale w Rzymie, tworząc dzieła, cieszące się ogólnem uznaniem świata artystycznego. Ze znanych w kraju utworów dłuta jego, wielkiej istotnie wartości są „Chrystus zdjęty z krzyża" w kościele po-Karmelickim w Warszawie, tamże „Anioł Śmierci"; nagrobek Aleksandra hr. Przezdzieckiego w kościele po-Kapucyńskim i wreszcie ów pomnik w kościele pp. Wizytek Tadeusza Czackiego.

Tak to znakomity rzeźbiarz spłacił dług wdzięczności pamięci tego, który dźwignął ową przesławną uczelnię, gdzie i on dobrodziejstwa wiedzy mógł czerpać.

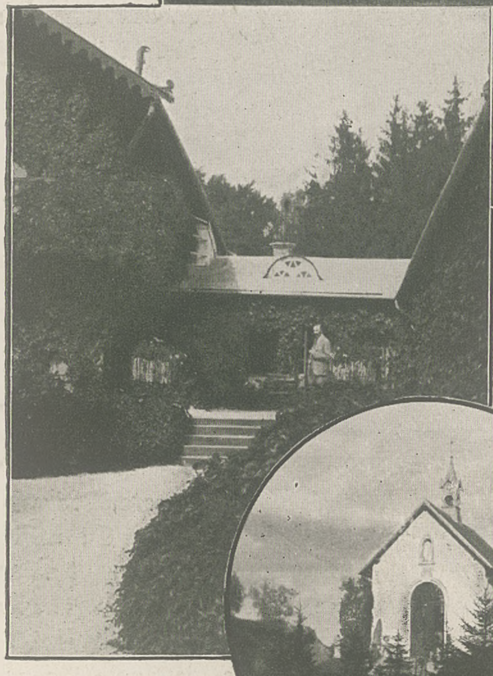


Chlebów, własność hrabiów Bolestów - Koziebrodzkich.





Młocka lokomobilami w Chlebowie.
Pałac w Sapohowie.



Chlebów od ogrodu.



Kaplica ogrodowa w Chlebowie.

PAŁACE i DWORY.

Chlebów vel Hlibów własność hr. Tadeusza Bolesty-Koziebrodzkiego, posła i upełnomocnionego Ministra austryjackiego, obecnie w Stuttgardzie, leży w pow. Skalackim. Dwór i park wspaniały założył ojciec obecnego posiadacza, hrabia Szczęsny Bolesta-Koziebrodzki, wieloletni, zasłużony poseł na sejm krajowy, marszałek powiatu etc. Dwór w Chlebowie był swojego czasu centrem cywilizacyjnym i towarzyskim okolicy. Jest tam kilka doskonałych portretów Pochwalskiego, tudzież wiele dobrych, starych obrazów szkoły holenderskiej.

* * *

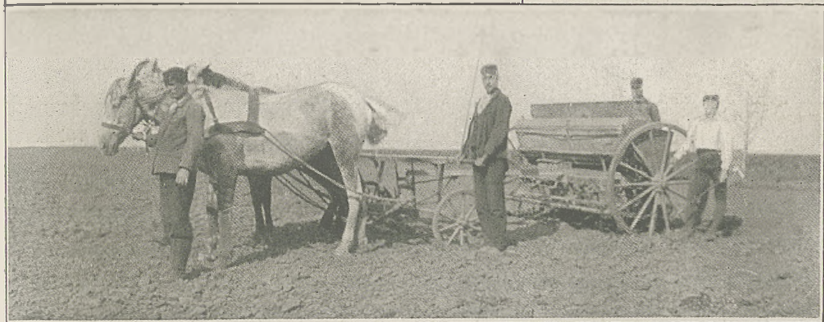
Sapohów, położony niedaleko Dniestru w powiecie Borszowskim, posiada piękny pałac i park rozległy, założony przez hr. Tadeusza Golejewskiego, po którym pozostał bogaty zbiór portretów rodzinnych i stylowe sztukaterje oraz meble.

* * *

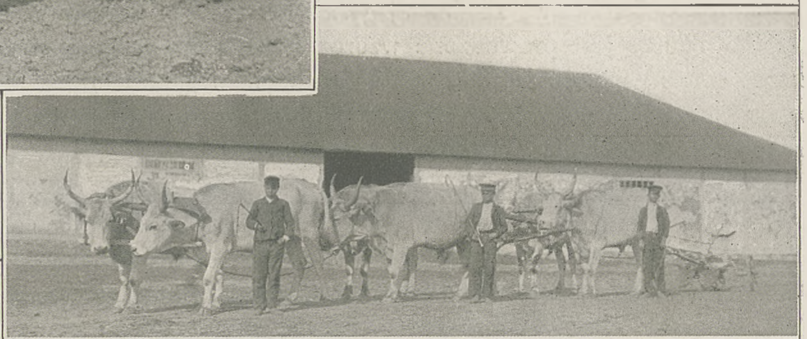
Tulin, lub, jak w dawnych dokumentach nazywano, Tuliny, wieś nad rzeką Hujwą w pow. Żytomierskim, posiada stare bardzo tradycje. Były one gniazdem kijowskiem Hornostajów, od którego się też pisali.

Aleksander Jabłonowski w „Rewizji Zamków", podaje jako właścicieli Tulina w roku 1545 Iwana i Oniksieja; w roku 1537 należy on do wojewody brzeskiego Gabryela Hornostaja; w roku 1637 do Anny z Hornostajów Leszczyńskiej, żony Rafała, wojewodzica bełzkiego.

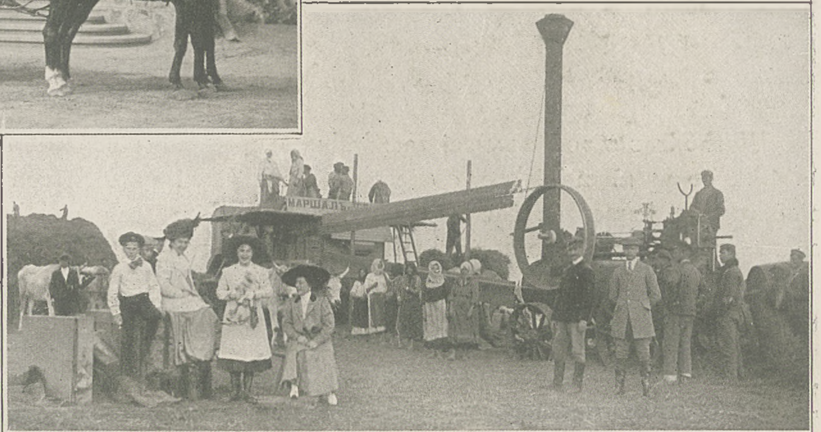




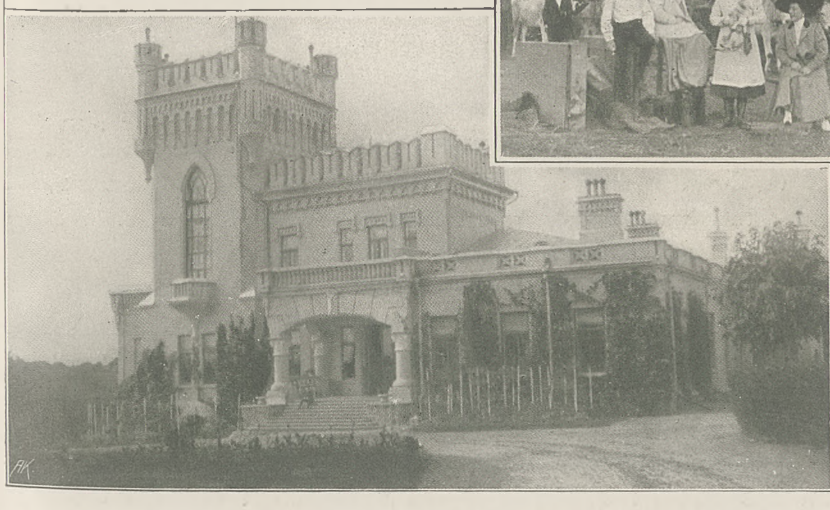
W wieku XVIII przechodzi Tulin do rodziny Poniatowskich. Znajdował się tu warowny zamek — zwany gubernją. Od Poniatowskich Tulin wraz z okolicznymi majątkami przeszedł do rodziny Polanowskich, których ostatnią przedstawicielką w zaborze rosyjskim była matka obecnego właściciela, p. Aleksandra Dobrowolskiego, p. Marja z Polanowskich Dobrowolska.







Pałac obecnie znajdujący się w Tulinie był zbudowany przez p. Dobrowolskiego w 1904 roku na wzgórzu, obok dawniejszego warownego zamku Poniatowskich;



TULIN, WŁASNOŚĆ P. ALEKSANDRA DOBROWOLSKIEGO.



Tulin, własność p. Aleksandra Dobrowolskiego.



Z życia dworu w Tulinie.

ślady fundamentów tego zamku dotąd jeszcze znajdują się na tak zwanej zamkowej górze.

W Tulinie jest prowadzone wzorowo 9-cio polowe gospodarstwo pod kierownictwem znanego w kraju agronoma, p. Tomasza Wachnowskiego — ucznia kijowskiej politechniki. W gospodarstwie zastosowane są wszelkie najnowsze narzędzia rolnicze i w wielkiej ilości sztuczne nawozy, których w naszych stronach mało kto jeszcze używa. Majątek składa się z trzech folwarków i obszaru lasu; wszystkie folwarki są połączone ze sobą telefonami.

O KOMINKU.

A.D.

Wychodząc z podstawowej zasady budownictwa, że tylko to w niem piękne, co jest dla konstrukcji nieodzownie konieczne i z praktycznych względów celowe, wypadałoby może, że kominek, wobec rozpowszechnionych już dziś kaloriferów, a dawniej jeszcze, pieców do węgla kamiennego, logicznie biorąc, w nowożytnem mieszkaniu bywa niepotrzebny, a tem samem, estetycznie nieusprawiedliwiony. A jednak wielu najbardziej nowożytnych architektów dzisiejszych bierze go nader gorąco w obronę właśnie ze względów estetycznych, pragnie też ów starodawny, miły, tradycyjny kominek naszych dziadków i pradziadków przywrócić znowu do znaczenia organu nieodzownego w konstrukcji mieszkań współczesnych.

Francuzi i Anglicy tradycji tych właściwie, mimo wszelkich w sprawie ogrzewania ulepszań technicznych, nie pozbyli się dotąd bynajmniej. Mniej lub bardziej ozdobny kominek jest tam sprzętem w domu koniecznym, choćby obok różnego systemu pieców i piecyków. Zapewne wobec zwłaszcza wysokich cen drzewa opałowego, odgrywa on niekiedy rolę ozdoby honorowej, ale istotnie niepodobna wyobrazić sobie mieszkania francuskiego lub angielskiego bez specjalnych urządzeń, gdzie by w pewnych chwilach nie można było rozniecić jasnego, trzaskającego ognia.

U nas kominek, wyrugowany przez praktyczniejsze niewątpliwie piece, w ostatnich czasach stał się rzadkością archeologiczną. Przechowane nieliczne z tego zakresu zabytki, cenione są, jako drogie minionej przeszłości pamiątki, stanowią też przedmiot specjalnych badań historycznych i estetycznych.

Zygmunt Glogier w swojem „Budownictwie drzewnem w dawnej Polsce“ podał wiadomości o, przechowujących się gdzieniegdzie w kraju, tego rodzaju zabytkach z wieków XVII i XVIII. Do wiadomości tych, dzięki uprzejmości znanego architekta p. Zdzisława Kalinowskiego „Wieś i Dwór“ dorzuca



Pałac Ostapkowiecki p. Martyny z Grabianków Zaleskiej. Schody starego sklepionego Hallu.

załączoną dalej podobiznę niezmiernie charakterystycznego komina z klasztoru w Czerwińsku.

Niestety obecnie on już nie istnieje. Zginął przed laty dziesięciu i właśnie w chwili ostatniej zagłady p. Kalinowski zdążył go sfotografować i ślad jego istnienia ocalić dla historji budownicwa polskiego.

W Polsce w czasach dawniejszych kominek występował często obok pieca, nieodzownego u nas dla surowości klimatu. Służył on „do światła“, „do zaświecenia“, jak podają ówczesne opisy.

W piecu zazwyczaj kaflowym, podczas mroźnej zimy palono obficie, ażeby w izbie utrzymać stale odpowiednio wysoką temperaturę, na kominku zaś rozkładano smolne łuczywo, które, płonąc jasnym, żywym ogniem, poprostu zastępowało światło naszych dzisiejszych lamp gazowych czy elektrycznych. Rozpalenie zatem ognia na kominku nie wyłączone było też i w lecie, jeżeli wypadło wieczór przepędzić na pogawędce. Stawał się on ośrodkiem życia rodzinnego i towarzyskiego.

„Ogień, — pisze J. I. Kraszewski, — lubią w Polsce wszystkie klasy, począwszy od pana do chłopa, bez niego obejść się im trudno; czegoś pusto, czegoś tęskno. Nieraz tam przy ogniu zdaje się gospodarzowi, że z kim rozmawia — rozmaitymi tajemniczymi głosy odzywa się do niego ognisko, bzyczy, świszcze, szumi, trzaska, brzęczy, piszczy, to błyśnie żółto, to czerwono, to niebiesko; zdaje się żyć, mówić, ruszać — komin zastępuje towarzysza, czasem gawędkę i zajęcie“.

Oczywiście kominek nie zjawił się odrazu w tej formie, jaka właśnie była tradycyjną u naszych dziadów i pradziadów, a jest on utworem stosunkowo dość późnym. Ogień, jako konieczny warunek istnienia ludzkości, otaczany był od czasów zamierzchłych czcią religijną. Ślady tego pozostały wśród ludu w całym szeregu obrzędów, towarzyszących rozpalaniu ogniska. Nie zastanawiając się tu nad ewolucją kultu i związanych z nim obyczajów, chcę mówić o kominku, jako o pewnym zdecydowanym w kształcie motywie architektonicznym.



Kącik z kominkiem w domu angielskim.

Starożytni znali jedynie ognie przenośne, stosy, ogniska rozkładane na ziemi, a także rodzaj kaloriferów, umieszczanych pod posadzką, jakie spotykamy w termach Rzymu i Pompei.

Na zachodzie Europy kominek pojawia się mniej więcej w epoce wojen krzyżowych. Wtedy to zaczynają ludzie wybijać na ognisko wnękę w ścianie i wnękę ową zaopatrują w kanał, odprowadzający dym na wierzch dachu.

W wiekach XI i XII urządzenie to jest jeszcze dość skromne i nieskomplikowane. Boki wnęki ozdabiają jedynie proste pilastry, a nad wnęką, mniej lub bardziej wysunięta, kapa tworzy rodzaj daszka. Ale w następnych już stuleciach niezrównani majstrowie średniowiecza z właściwą sobie intuicją i artystyczną doskonałością wykonania komponują przewspaniałe arcydzieła dekoracyjne. Odtąd nie ma już wspanialszej sali bez wspaniałego monumentalnego, bogato w rzeźby przybranego kominka. Staje się on jej ozdobą najwybitniejszą. Ambicje panów i pomysłowość artystów podały sobie ręce, ażeby tworzyć pomniki, wzbudzające zachwyt i podziwienie. Historja sztuki przekazała wiele nader ciekawych z tej dziedziny zabytków. W zamku hrabiów de Poitiers był cudnie rzeźbiony kominek dziesięciu metrów szerokości. Jeszcze wspanialsze tego rodzaju monumenty posiadały podobno zamki w Pierrefonds i Coucy. U nas największe kominki widział Zygmunt Glogier w Kowalewszczyznie na Podlasiu. „Można by tam było w każdym zasiąść przy stoliku w kilka osób. Nad niszą ogniska wznosił się pod belki pułapowe w rogu każdej z większych izb potężny komin murowany, upiększony oryginalnie i estetycznie wielkim medaljonem i licznymi gzemsami“.

Epokę gotycyzmu można najsłuszniej przyjąć za chwilę stanowczego ukształtowania się kominka, jako koniecznego organu domów mieszkalnych i tem samem jednego z głównych motywów architekto-

nicznych i zdobniczych. W pierwszej dobie renesansu spotykamy jeszcze kominki ze wszystkiemi pierwotnemi cechami konstrukcyjnemi gotycyzmu. Zmianie ulega tylko dekoracja zewnętrzna. Słupy boczne i górna kapa są artystycznie rozczłonkowane i ozdobione według wskazań nowego stylu, a w dalszej swej ewolucji nie wiele już zasadniczo przekształcone, przechowały się w Anglji, Francji i Włoszech do dni dzisiejszych. Nowa sztuka dekoracyjna szuka w dalszym ciągu tylko nowych motywów zdobniczych dla tych starych form konstrukcyjnych.

Sztuka Odrodzenia włoskiego w kraju naszym odbiła się może najsilniej właśnie w tym rodzaju utworów. W opisach i inwentarzach starych zamków i dworów pańskich spotykamy wzmianki o bogatych, z marmuru włoską modą stawianych kominkach, kiedy dwory same „kładzione" były z drzewa polską wieńcówką na zamek.

Z epoki barocca przechował się w zamku krakowskim na Wawelu bardzo piękny marmurowy kominek Wazów. Mieści się on w jednej z sal drugiego piętra, w sąsiedztwie kaplicy zamkowej. „Na jego przystrojenie składały się wszystkie marmury, na jakie kraj nasz mógł się zdobyć. Obok czerwono-siwego, żółtawego i czarnego, mamy tam i jasno-różowy, zbliżony do słynnego marmuru z okolic Brescia we Włoszech".

Na dwu marmurowych jońskich kolumnach spoczywa brus, nadbrusie i gzems, a to wszystko koronuje, bogato w barokowym smaku rozwinięta armatura tarczy herbowej ze „Snopem" Wazów, oraz dwa obeliski po bokach.

Roccoco, przynosząc z Francji modę już nie zamków, lecz pałaców, niekiedy zresztą żywcem według wzorów francuskich u nas stawianych, przyniosło też z całą konstrukcją zewnętrzną, francuski charakter urządzeń wewnętrznych, więc i takiż kominek, który stał się konieczną potrzebą każdego mieszkania — kominek pokojowy, przed którym w wieku XVIII gwarzono wieczorami w kompanji, lub samotnie dumano, patrząc na trzaskający żywo ogień.



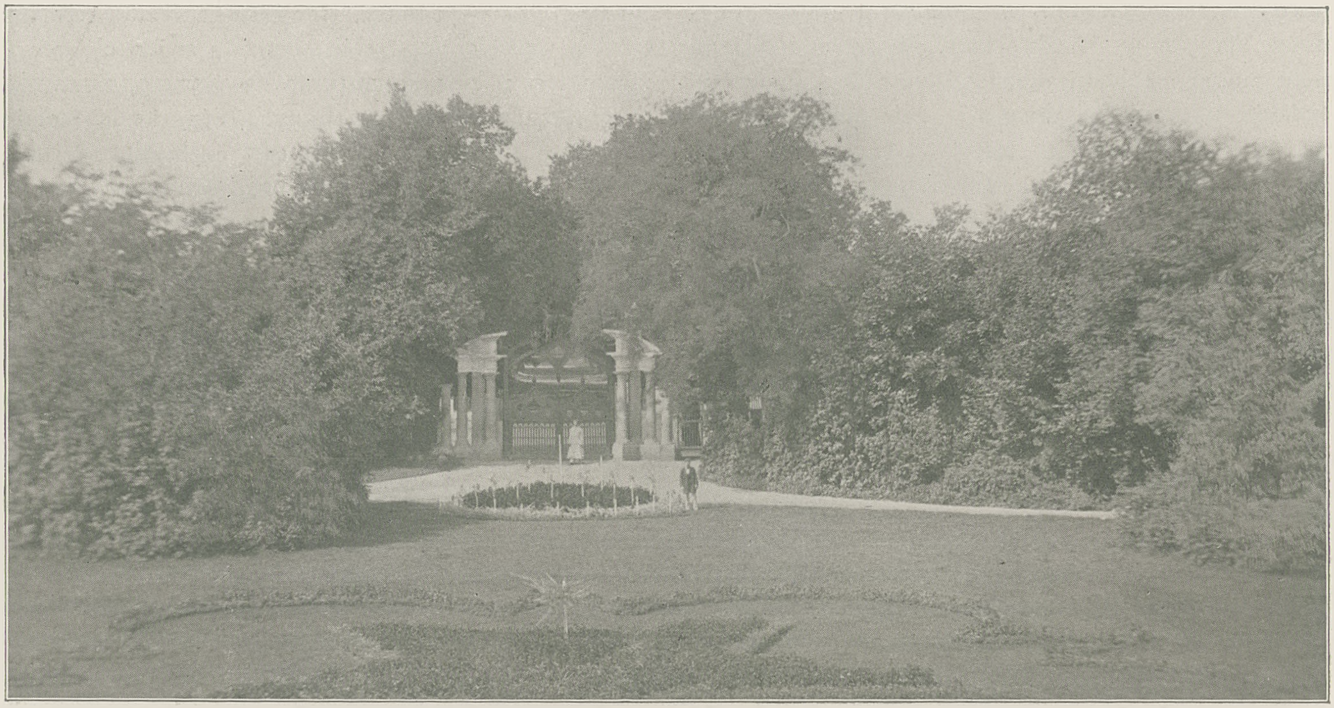
Kominek z Czerwińska (fot. am. p. Z. Kalinowskiego).

Architekci współcześni pragną wskrzesić kominek i z tradycjami dawnemi związać nowe koncepcje artystyczne. Doprawdy, z całego serca przyklasnąć należy takim usiłowaniom. Nie jest to znowu tak wielkim zbytkiem, a zaiste wielką przyjemnością: módz w chwilach odpowiedniego nastroju patrzeć w ogień kominka i wywołać w sobie wspomnienia, idące od starych pojęć „ogniska domowego".

Oczywiście dotychczasowe badania Glogiera i innych nie są wyczerpujące. Niewątpliwie w wielu dworach polskich przechowały się jeszcze oryginalne okazy starych kominków; niewątpliwie w innych znajdują się kominki nowe, niekiedy wysokiej wartości artystycznej. Sądzę, że szczęśliwi posiadacze takich zabytków, podając łaskawie o nich wiadomości do „Wsi i Dworu", wyrządziliby wielką przysługę historji naszej kultury, a także sztuce naszej współczesnej. Tą drogą na kartach pisma naszego dokonałby się rodzaj inwentaryzacji, godnych poznania istniejących w tym zakresie arcydzieł, a stąd źródło natchnienia dla inwencji artystów...

Doprawdy, tylko przez ścisłe zespolenie twórczości współczesnej z dawnemi tradycjami narodowemi można dojść z czasem do wytworzenia własnego polskiego stylu w architekturze i zdobnictwie.

T. Jaroszyński.



Ostapkowce. Stara brama pałacowa. Podole.



Ostapkowce, nad Smotryczem, Podole.



Wieś Ostapkowce, wł. pani Martyny z Grabianków Zaleskiej.

BOL. SCH. WOL.

Piosenka.

Przez potargane pasmo życia,
Przez cały jego bieg,
Brałem piosenkę mą z ukrycia
Śród krwi pośpiechu i tętn bicia
Jako cudowny lek.

Niosła mi ona ukojenie,
Gdy trosk nie szczędził świat
I dotąd wielce sobie cenię
W rubryce zysków jej promienie
— Choć więcej było strat...

I ile razy do... schowania
Sięgam po cudny lek,
Wszystko się wkoło mnie rozdzwania
A duch mknie chciwy królowania
Za siedem gór i rzek...



Cyganie. Fot. am. p. Stanisława Durzyckiego. Podole.

Notatki o Husiatynie.

(Ze zbiorów starosty Michała Zawadzkiego).

I.

Obcego, który przybywa na stację Husiatyn, powolnie toczącym się pociągiem, na wpół pustym, nie zbyt wesołe ogarnąć musi uczucie, wysiadłszy bowiem znajduje się w czystym polu, a to, co przed sobą widzi, to już obstawione kordonem straży, rosyjskie stoki jaru pod Zbruczem z rozłożonem w dali miasteczkiem.

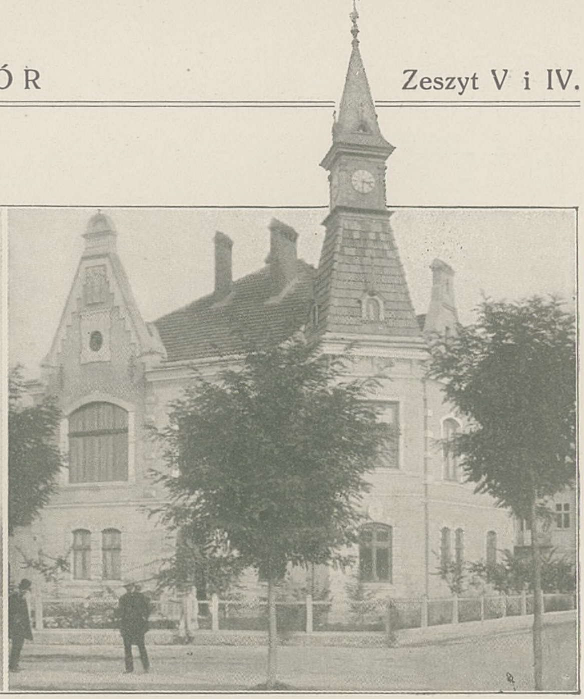
Husiatyn austryjacki położony na prawej stronie jaru Zbrucza, kryje się przed okiem przybysza— a jedynie wystające w dali pośród drzew po prawej stronie dworca wieżyce czerwone zdradzają bliskość osady. To „Grabnik", rezydencja obecnego marszałka krajowego. Do niedawna las zwykły, zamienił obecny właściciel Husiatyna w połowie na park, ozdobił wyszukanemi drzewami i krzewami i wzniósł w nim według planów architekta Zacharjewicza pałac, który mieści w sobie kaplicę i salę przyjęć, a na górze pokoje mieszkalne i gościnne, do których wiedzie piękna klatka schodowa.

Tu najchętniej przebywa hr. Adam Gołuchowski, tu też najchętniej wraca, aby po trudach wypocząć wśród drzew i pól zdala od gwaru miasta, na które z balkonu, przez odpowiednio przecięty park, piękny widok się roztacza.

Miasto Husiatyn o 2 klm. od stacji oddalone— leży na wsuniętym na terytorjum rosyjskie, oblanym Zbruczem, wąskim pasie ziemi, przeciętym gościńcem krajowym, który dochodzi do mostku granicznego.

Wzdłuż gościńca tego, bliżej środka miasta, powstały w nowszym czasie liczne budowle, między





Husiatyn. Pałac Adama hr. Gołuchowskiego, marszałka krajowego. Ratusz miejski.

niemi szpital powszechny, na czele którego stoi obecnie Dr. Zaręba Gustaw, elektrownia, galicyjska fabryka piór stalowych, otworzona w r. 1911 przez Filipa Kawałka i szkoła ludowa męska i żeńska, zbudowana w r. 1910.

Tu za szkołą wkracza gościniec w obręb dawnego, murami otoczonego i bramami zumkniętego Husiatyna i tu po prawej stronie widzimy najpierw odsłonięty w r. 1910 pomnik Mickiewicza, a naprzeciwko kościół parafialny rz.-kat. odrestaurowany i częściowo przebudowany w r. 1911 według planów architekta Halickiego. Przy drodze, która wiedzie od kościoła ku południowi, stoi, zbudowany za prezesowstwa obecnego posła do parlamentu austr. Jana Godeka i poświęcony w r. 1911 przez biskupa ks. Bandurskiego, gmach Sokoła polskiego, a obok niego budynek Rady powiatowej, w którym długie lata pracował, jako prezes, hr. Adam Gołuchowski, zanim został powołany na godność marszałka kraju.



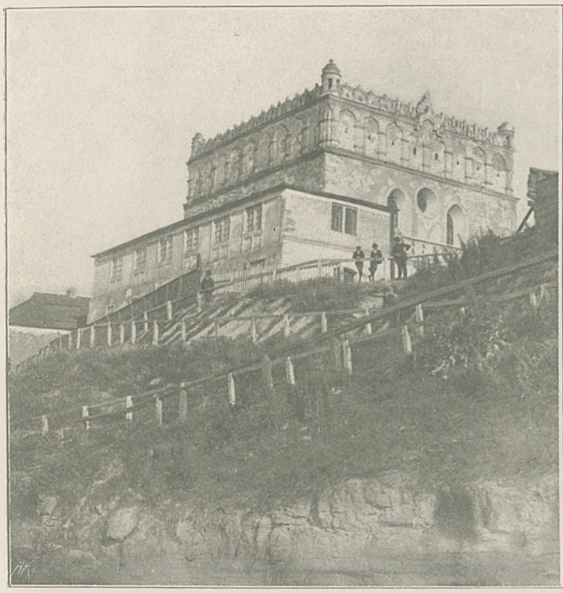
Kujawy. Jezioro Chodeckie.
Fot. am. p. L. Ostaszewskiego.

Gościniec krajowy, któryśmy opuścili obok pomnika Mickiewicza, zwraca się ku wschodowi i przecina obszerny plac, na którym stoi zbudowany w roku 1907—1908 ratusz miejski, mieszczący obok urzędu, założone w roku 1909-tym czteroklasowe polskie gimnazjum prywatne.

Po lewej stronie (północnej) placu stoi pałac „cudownego rabina“ na miejscu dawnego zamku Kalinowskich, z którego pozostały zaledwie dwie baszszty i trochę podmurowań, a także prywatna synagoga „cudownego rabina“, bogato wewnątrz ozdobiona.

Za placem opisanym stoi przy gościńcu budynek, w którym się mieści Starostwo z urzędem podatkowym, a za nim rozciąga się rynek, na środku którego stoi dawny ratusz, złożony z czterech budynków, ustawionych w formie krzyża równoramiennego naokoło, nieistniejącej obecnie części środkowej ośmiobocznej, zakończonej prawdopodobnie kopułą.

Ratusz ten zbudowany z kamienia w stylu barakowym, pochodzi z końca XVII w. i służył prawdopodobnie na skład towarów, na co by wskazywały rozległe piwnice, częściowo zasypane. W roku 1910-tym odrestaurowano ratusz według planów zatwierdzonych przez konserwatorów dawnych zabytków, nie odbudowano jedynie dla braku funduszów zupełnie już zniszczonej środkowej części, któraby budynki w pewną



Husiatyn. Stara Synagoga.



Widok na Husiatyn austryjacki od strony Zbrucza.

powiązała całość. W ratuszu mieszczą się dziś sklepy.

Obok rynku na samym stoku Zbrucza stoi oryginalna synagoga, pochodząca z XVII w., odrestaurowana w r. 1911 pod kierunkiem konserwatora zabytków inż. Mokłowskiego.

Gościniec krajowy, wychodząc z rynku, zbiega ku mostowi granicznemu i w części tej ma po prawej stronie starą murowaną cerkiew parafialną i tuż przy granicy budynek, w którym się mieści urząd cłowy. Budynek ten miał mieścić dawniej jakiś klasztor.

Husiatyn liczy według nieogłoszonego jeszcze spisu ludności z r. 1910—6,015 mieszkańców, w tem 1,388 polaków, 1,311 rusinów, 3,299 izraelitów, a 19 osób innych wyznań.

Mieszkańcy trudnią się rolnictwem lub handlem—znaczna zwłaszcza część izraelitów utrzymuje się z pośrednictwa w handlu przewozowym rosyjskim. W Husiatynie bowiem, gdzie się zaczyna linja kolejowa transwersalna, naładowują gęsi, jaja, zboże i inne artykuły, które z Podola rosyjskiego wysyłają do Niemiec i innych krajów. Jesienią przewożą kolejami galicyjskiemi także (przez Tarnopol, Podwołoczyska) do rosyjskich rafinerji cukru buraki cukrowe. To też od rana do wieczora zwłaszcza porą jesienną przeciąga przez Husiatyn 700 do 800 wozów rosyjskich pod konwojem straży cłowej z towarami, które bywają składane w obszernych magazynach kolejowych, zanim zostaną załadowane.

Z powodu świąt Wielkanocnych zamiast dwóch numerów marcowych wydajemy jeden w podwójnej objętości.

Przy sposobności przypominamy Szanownym, a łaskawym naszym Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na kwartał drugi.

Redakcja.



Ś. p. Wincenty Józef Karpiński.

Zmarł w Warszawie ś. p. dr. filozofji Wincenty Józef Korab Karpiński, były profesor politechniki lwowskiej, właściciel dóbr Łysocha w ziemi siedleckiej, jeden z najuczeńszych, najwybitniejszych naszych rolników gleboznawców, dobrze już zasłużony ziemiaństwu krajowemu, choć przeżył zaledwie lat 45.

Ś. p. Wincenty Józef Karpiński, urodzony w r. 1867 w majątku rodzinnym w Andrzejowie na Podlasiu, po ukończeniu szkoły Pankiewicza w Warszawie, wstąpił na wydział uniwersytetu w Zurychu, a w r. 1891 doktoryzował się w Strasburgu.

W r. 1892 powrócił do kraju i zajął się zastosowaniem wiedzy swej przyrodniczej do rolnictwa.

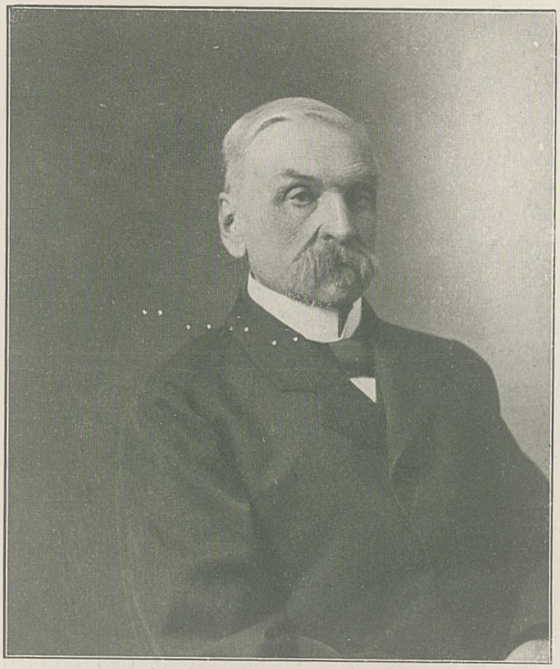
W tym celu wstąpił w r. 1892 na asystenta rolniczej stacji doświadczalnej w Sobieszynie, gdzie zajął się badaniem gleb naszych i ogłosił szereg prac, które zwróciły na siebie uwagę rolników i świata chemicznego. Zainteresowała go potem szczególniej uprawa i hodowla buraka cukrowego, wziął więc udział w pracach naukowo-hodowlanych na stacji doświadczalnej w Suhakach, na Podolu. Zdolności jego i gruntowna wiedza nadawały się jednakże do szerszej pracy, a że wówczas przy sekcji cukrowniczej warszawskiej powstała myśl założenia stacji doświadczalnej rolniczo-cukrowniczej, powołano ś. p. Karpińskiego na kierownika stacji doświadczalnej w Grodzisku i Jeżowie, a ogół tych wszystkich prac zyskał zmarłemu odrazu opinję wybitnego teoretyka.

Kiedy więc w politechnice lwowskiej zamierzono utworzyć katedrę rolnictwa, jednomyślnie powołano go na profesora pomienionej uczelni, skąd niebawem akademja rolnicza w Dublanach zawezwała go do objęcia katedry chemji rolniczej i kierownictwa stacji doświadczalnej.

Niestety, śmierć przerwała owocną pracę.

Zgasł człowiek wielkiej wiedzy, szlachetnego serca i szerokiego umysłu, imię jago wspominane też będzie zaszczytnie w dziejach naszego rolnictwa naukowego.

Osierocił żonę p. Stanisławę z Sępołowskich, która była mu dzielną towarzyszką życia.



Ś. p. Bronisław Ryx.

Z pod tej samej chorągwi, pod którą służył ś. p. Wincenty Karpiński, usunął się kolega rolnik znacznie starszy, a może najstarszy z pomiędzy tych, którym przed pięćdziesięciu laty ziemia nasza zawdzięczała wyższą kulturę i opiekę synowską. Wówczas cudzoziemiec nie śmiał tak łatwo, jak dziś, sięgać po nasze dziedzictwa.

Takim rolnikiem był i ś. p. Bronisław Ryx, właściciel znacznej ojcowskiej fortuny, położonej w ziemi Piaseczyńskiej.

Pięćdziesiąt lat minęło, odkąd po skończeniu uniwersytetu w Heidelbergu, ś. p. Ryx, pojąwszy za małżonkę Izabelę z Kropiwnickich, osiadł w Prażmowie.

Wkrótce jednak opuścić musiał domowe progi, zadość czyniąc obowiązkom obywatelskim.

Przyjaciel ś. p. Stanisława Krzemińskiego, Adama Asnyka i wielu ludzi wybitnych w świecie naukowym, literackim i politycznym, zmuszony do opuszczenia kraju, jak wielu innych, osiadł wraz z rodziną w Dreznie, potem w Paryżu. Dopóki mógł, służył krajowi, ze wszystkich sił swoich w domu, w polu, w lesie.

Kształcił się pilnie na rolnika i kształcił swoim kosztem tych, którzy rolnictwu życie poświęcić chcieli; usłuchawszy głosu, któremu kraj był posłuszny, poszedł na zawodne żniwo wraz ze swymi uczniami.

Po wielu latach tułaczki powrócił wreszcie do ukochanego Prażmowa, gdzie wraz z żoną prowadził gospodarstwo hodowlano-rolne, słynne w owe czasy na kraj cały.

Człowiek najszlachetniejszych zalet umysłu i serca, ziemianin z tradycji i szczery opiekun ludu, cieszył się wielkiem uznaniem sąsiadów i szlachty i włościan. Wspólnie z żoną sieli oświatę, praktyką i książką, między rodziny włościańskie, a gdy musieli opuścić własny zagon, pracowali gdzieindziej również gorliwie i wciąż dla swoich.

Długoletnia tułaczka podkopała jego zdrowie i zgon przyspieszyła.

Przed tygodniem gromady szlachecko-włościańskie ciągnęły traktem grójeckim ku Prażmowu, aby złożyć w grobie rodzinnym jednego z najzasłużeńszych rolników polskich.

Sąsiedzi—starsze i młodsze pokolenie, zjechali się na pogrzeb tułacza, a dzisiejszy dziedzic Prażmowa, p. R., otworzył szeroko wrota, aby wszyscy pomieścić się mogli pod jego gościnnym dachem; przystroił zielenią drogę na cmentarz i po modłach ks. plebana zaprosił wszystkich na staropolską stypę, do umiłowanego przez ś. p. Bronisława dworu.

Cześć jego pamięci!

SĘP.

PIEŚŃ WIECZORNA.

WRAŻENIE MYŚLIWSKIE.



łońce opada. Las ogarnia jakieś tajemnicze skupienie, jak gdyby za chwilę stać się miał cud.

Na zachodzie gore.

Przez młody zagajnik na skraju polany prześwieca przepych złotego wieczoru. Bez ruchu, aby uroczystej nie spłoszyć chwili, w białych sukmanach brzóz gromadka stoi: każdy wiotki pień, każda witka, każdy zaledwie w przeddzień rozwinięty listek zdaje się być ze spiżu, takie są dziwnie nieruchome na bizantyjskim tle zachodu. W jednem tylko miejscu, tam gdzie słońce ginie, złocista zamieć w powietrzu zawisła; mgła złota brzozy otula, a tym skrzydła rosną tęczowe, promienne. I tak stoją nawpół wniebowzięte, ciche, a wdzięczne, jak służebnice Pańskie.

Gdy tak w radosnym trwają zachwycie, za niemi od złotych roztopów łuny wielkie biją. W łachach ciemnej purpury już poskromiony, żar słoneczny znów wielkim wytryska płomieniem, tu złotym rąbkiem się ściele, tam, w zorze rumiane miękko spowity, cicho przygasa. Dalej w głąb' niebo blednie, w barwie topazu tężeje, zimnym fioletem okwita... i jeszcze tu owdzie krwawą broczy strugą — lecz już omdlewa, z nocą się brata. Na ścigłych pniach sosen dawno już rdzawe dogasają blaski. Zwolna po spierzchłej korze, królewską słońce wodziło pieszczotę... aż znikać poczęło. Teraz w słońcu stoją już tylko wierzchołki — w zadumie spoglądają one hen w skrawek olbrzymiej czerwonej tarczy, którą ziemia chłonie.

A ta cicha zaduma do stóp sosen spływa, po mchach wilgotnych się ściele, na wrzosach osiada, na drobne listki borówek zstępuje, dla których już dawno jasność dzienna zmierzchła. One zaś się korzą, bo tam w górze sosny - siostrzyce jeszcze słońce widzą i Anioł Pański wciąż się jeszcze nad lasem unosi.

Cisza rośnie z każdą chwilą.

Rzewnie, donośnie na tle tej ciszy śpiew się przedziwny rozlega: ni to hymn na cześć słońca, ni spowiedź serdeczna, a prosta. Jest w nim subtelnych akcentów cała gama wdzięczna: cichy podziw, łagodna namowa, naiwne pytanie... powątpiewanie...

Czasem śpiewak się zamyśli i przez zadumę po raz wtóry coś widać głębszego powtarza, lecz wnet się ocknie, rzuci jakiś krótki okrzyk radości, zamilknie na chwilę, i dalej coś waży, przekłada, o coś pyta, zwięźle z odcieniem humoru sobie odpowiada...

To drozd, co wieczór z wierzchołka dęba wiosny wyglądając, tymczasem sobie o cudach jej gwarzy.

Lecz oto jakiś smutek śpiewaka ogarnął. Krótki jego frazes muzyczny w coraz dłuższych po sobie idzie odstępach... Jakaś nić się rwie...

Jeszcze raz zaczął... i urwał...

Cicza...

Z niebios cichy, tajemniczy sfrunął odgłos — niby tłumiony bek, niby śmiech tajony. Dreszcz przeszedł po kniei. Wionęło chłodem.

Nad polaną, chrapiąc, przeleciała słonka.

Przeminęło.

O godzino cudu, złota godzino! Człowiek wsłuchany w twą ciszę, roztopił w tobie duszę i daleko uszedł przed sobą, przed ludźmi...

Wraz z żywicznym zapachem boru chłonął w siebie Spokój wielki i rozkosz istnienia.

Przeminęło.

Lecz co to?..

Gra...

Pieśni miłosna, któż twój urok wypowie?

W ciszy uśpionego już boru jakiś tajemniczy zegar ledwie dostrzegalne wygrywa kuranty... jakiś mechanizm prastary, odwieczny... Kurant za kurantem, kurant za kurantem... sypią się skądeś z wysoka w raźnym rytmie tanecznym jakieś dźwięki dziwne — szybkie kołatanie drewnianego dzwoneczka gubi się w syku zużytej sprężyny i po krótkiej pieśni pozostaje tylko nagi, namiętny jej rytm. Gra...

Stanisław Karwicki.



Przed zagrodą.

ŻYDZI
W POLSCE NIEPODLEGŁEJ.

Konieczność samoobrony wobec zakusów żydowskich, aż nadto posuwających się we wszelkich kierunkach naszego życia, nietylko zmusza nas do walki, jaką dzisiaj społeczeństwo polskie prowadzi, ale również wymaga od nas dla głębszej świadomości istoty rzeczy poznania żyda, jego stanowiska i działalności w Polsce od czasów najdawniejszych. O kwestji żydowskiej w Polsce pisało wielu historyków, w rozmaity sposób wyświetlając działalność izraela na ziemiach polskich. Do licznych prac przybyła jeszcze jedna—p. *Antoniego Marylskiego*, znanego działacza i cenionego społecznika. —*Dzieje sprawy żydowskiej w Polsce* to cenny przyczynek do charakterystyki stanowiska żydów. Gruntowna ta praca, omawiając działalność żydowską na ziemiach polskich, uwzględnia również kwestję żydowską na Zachodzie.

Stosunki między żydami a polakami datują się od wieku XII. Przybyli wtedy żydzi do Polski z Zachodu, gdzie za panowania Korwingów doszli do znacznych wpływów dzięki bogactwu swojemu, pozyskanemu przez handel ludźmi i lichwę. Za Karola Wielkiego i Ludwika Pobożnego posiadali żydzi duże wpływy, mieszając się do rządów, intrygując i wszelkimi sposobami wyzyskując sytuację każdą na swoją korzyść. W wieku IX po osiedleniu się w Magdeburgu, Merseburgu i Regensburgu widzimy ich nad granicami ziem polskich. Ówczesne stanowisko żyda w Europie średniowiecznej wskazuje nam dość jasno na charaktar żyda, jego dążenia i cele.

Fizjonomja żyda średniowiecznego zachowała znamienne cechy jego charakteru niezmienności i odrębności. Zasady talmudyczne nie zmieniają

jego pojęć o moralności, o bliźnim, którym jest tylko żyd dla żyda. Jak sięgnąć pamięcią w najdawniejsze czasy historji był żyd w różnych miastach przechodniem, gościem, nawet tam, gdzie siedział lata całe. Przyczyn należy szukać w braku zmysłu politycznego, nieznajomości militaryzmu, a przedewszystkiem w samym charakterze żyda, który nie stworzył etnograficznej całości, języka swego, obojętny wogóle na podstawy, stwarzające ojczyznę. Stąd też żydzi są i będą nalotem innych organizmów państwowych, tak jak byli przez całe wieki.

Historja kultury żydowskiej dowiodła, że żydzi w dziedzinie twórczości niezmiennie okazują zupełną jałowość: ani w sztuce, ani w literaturze nie zajęli określonego, indywidualnego stanowiska, zimni wobec świata i natury. Mając jedynie przedstawicieli w liryce, nie stworzyli ani epopei, ani dramatu, a w sztuce uprawiali eklektyzm. Czczą Talmud— który jest absolutnym wyrazem duchowo-umysłowej i kulturalnej strony judaizmu, nie dążącego nigdy do szerokiej propagandy swoich zasad, do nawracania inowierców na judaizm, czego pozostały ledwo dowody pojedyńcze.

Nienawidząc każdego poza judejczykiem, ze ślepą wiarą w mesjanizm, z przekonaniem, że rolą ich jest owładnąć całym światem, rozeszli się po społeczeństwach i rozpoczęli wśród nich działalność wysoce destrukcyjną, zgodną przecież z założeniami judaizmu. Tak było od dawien dawna, tak było w wiekach średnich i później, jest i dziś. Ale żydzi nigdy nie chcą winić samych siebie, jeśli który naród wrogo przeciw ich robocie wystąpi. Wówczas z niebywałą bezczelnością rozpoczynają walkę, dochodzącą do cynizmu, zapominając, że są tylko przychodniami.

Jeżeli walczyć nie mogą, lub widzą, że ustąpić będą musieli, głoszą z patosem o swej krzywdzie i niedoli. Ustępują rzadko jednak, knowaniem podziemnem prowadząc wokoło mściwe dzieło niszczenia wszystkiego z wyraźnym celem, mającym na względzie tylko ich własny interes.

I średniowieczny żyd, zjawiający się w Polsce jest już gościem niebezpiecznym, uświadomionym co do roli, jaka mu przypadła w świecie.

Imigracja żydowska do Polski szła z Niemiec, od czasu Karola Wielkiego i Ludwika Pobożnego. Zrazu była niewielką, jak tego dowodzi historja. Tłomaczyć sobie ten objaw należy korzystnymi warunkami położenia w Niemczech, a również i tem, że ziemie zaodrzańskie i nadwiślańskie leżały poza głównym traktem handlowym z zachodu na wschód; szedł on przez Czechy, Węgry, Konstantynopol, w stronę Bagdadu. Nie mniej jednak żydzi zaglądali do Polski prawdopodobnie i przed wiekami średnimi jeśli chodziło o handel ludźmi, miodem, woskiem etc. Mieli swoich faktorów w Gnieznie, Krakowie, Wrocławiu i w innych miastach.

Na pierwszych osiedleńców żydowskich w Polsce patrzano dość przyjaźnie. Nie myślano o jakiejś dla nich specjalnej organizacji ze względu zapewne na niewielką ich liczbę, która zaczyna wzrastać w miarę rozwoju państwa i naturalnie zarazem ogólnych handlowo-przemysłowych interesów. Dwa główne czynniki wytworzyły u nas sprawę żydowską — *handel ludzkim towarem i lichwa*. Niewolnictwo na gruncie Europy wyrosło z różnych przyczyn. Byli niewolnikami jeńcy wojenni, z zakupów od handlarzy, z wyroków sądowych za niewypłacalność, z przestępców wykupionych od kary śmierci i t. p. Z niewolnictwem walczył Kościół Katolicki. Walkę tę żydzi uważali za zamach na ich prawa, ponieważ oni to najbardziej prowadzili handel żywym towarem. U nas niewolnictwo wypływało z tych samych źródeł, co i na Zachodzie. Niewolnikami kolonizowano puste obszary, a jednocześnie był to towar sprzedażny. Jak na Zachodzie, tak i w Polsce niewolników wykupywano z rąk handlarzy, obchodzących się częstokroć z nimi po barbarzyńsku. Handel niewolnikami wzbudził pierwszy w polaku odrazę do żyda, zaś czynnik drugi — lichwa odrazę tę uczyniła jeszcze większą, zwłaszcza, że procenty pobierane przez żydów wynosiły czasami po 300%.

Przeciw lichwie, która miewała w wiekach średnich nieraz bardzo ostry charakter, walczył Kościół Katolicki; walczyli i monarchowie, jak Karol Wielki. Korzystając z ewolucji ekonomicznej, która się odbywała w wiekach średnich, żyd opanowywuje, dzięki sprzyjającym okolicznościom, rynek pieniężny, wciska się w stosunki ekonomiczne w charakterze bankiera i ugruntowywuje tym sposobem wpływy swoje i znaczenia. Zakazy przeciw lichwie, pobierania wogóle procentów od kapitału — ostre wystąpienia Kościoła obowiązywały i Polskę, w której prócz dochodu z pieniędzy bieżących i renty od pożyczki ziemskiej — na żadne procenty prawo zrazu nie pozwalało. Później procenty do 10 uprawniono, a w 1775 r. postanowieniem Konstytucji określono na $3^1/_2$%. Tego rodzaju stosunki pozwoliły żydom rozgospodarować się w Polsce, zakazy lichwy dotyczyły bowiem chrześcijan jedynie. W dodatku pomimo uchwał soborów prowincjonalnych polskich, ustawodawstwo cywilne polskie i sami panujący popierali lichwę żydowską, oznaczając jako procent prawny w stosunku rocznym $108^1/_2$.

Mieli więc żydzi pewne przywileje, jako bankierzy. Na tem stanowisku, jak wskazują dokumenty historyczne, mają coraz większe, aczkolwiek tu i owdzie spotykamy się ze sporadycznymi faktami wrogiego usposobienia ludności względem Izraela; dzieje się to zresztą nie tylko u nas, ale i na Zachodzie. W XII wieku widzimy żydów w Polsce w charakterze dzierżawców mennic książęcych. Nie mogli jednak książęta lekceważyć bogactw żydowskich i ze względu na stosunki gospodarcze, wymagające licznych zasobów pieniężnych i ze względu na potrzeby państwowe, coraz to wzrastające. Tak Bolesław Pobożny, książe Kaliski, zawiera umowę z żydami, mającą przynieść korzyści zobopólne. Książe Kaliski potrzebował pieniędzy, prowadząc wojny z Krzyżakami i Brandeburgją. Bolesław Pobożny poszedł tutaj za przykładem Europy. Żydom w Europie działo się różnie: otrzymywali przywileje, zawierali z panującymi korzystne umowy, to znów byli wypędzani, a nawet przez panująaych prześladowani zaborem majątków. Nie zważali jednak na to, korzystając z lada sposobności lepszego dla siebie nastroju, aby znowu powrócić do dawnej zamożności i wpływów, co też im się udało nieraz prawie w każdem państwie. Coś podobnego działo się i w Polsce. W epoce piastowskiej przechodzą żydzi u nas rozmaite koleje, albo zyskują przywileje i prawa, zabezpieczenia przed napaściami i rabunkami, albo też zupełnie nie są oszczędzani przez ludność, która, według danych historycznych, bardzo często groźnie występowała przeciw żydom, wyzyskującym stanowisko bankierów i lichwiarzy. Jak dalece musieli żydzi szkodzić społeczeństwu naszemu, świadczą o tem liczne, wyraźne prawa, wydawane przez panujących, a określające jasno stanowisko żyda w życiu społecznem. Szkodliwość żyda dla społeczności chrześcijańskiej, katolickiej, rozumiał dobrze Kościół i ze swej strony wydawał także obostrzenia. Panowanie Kazimierza Wielkiego, którego różni uczeni obrońcy żydów koniecznie chcą mieć za filosemitę, nie wskazuje zgoła na dążenia asymilacji żydów z polakami. Kazimierz W. otaczał wprawdzie żydostwo opieką, ale ani specjalną, ani wyjątkową, wydając również ściśle określone prawa przeciw żydom, mające na uwadze obronę społeczeństwa przed panoszącą się do tego stopnia lichwą, że w rękach lichwiarzy żydowskich znajdowali się pierwsi nasi panowie, wybitni mieszczanie, nie mówiąc o książętach jak np. Ziemowit Mazowiecki.



Poręba. Fot. am. p. Głomerskiego.

Przeciw żydom, ich manipulacjom lichwiarskim występuje żywioł mieszczaństwa polskiego. Walka była nierówna i trudna ze względu na międzynarodową organizację żydowską, intrygi, wreszcie ogromne długi, zaciągane u żydów przez samych panujących (Jagiellonowie). Żydzi korzystali z takiego położenia i uzyskiwali liczne przywileje, aczkolwiek nie od wszystkich: Olbracht i Aleksander mimo długów u bankiera-lichwiarza Fiszla, żadnych przywilejów nie nadawali. Pod koniec Jagiellonów występuje ścieranie się dwu polityk: szlacheckiej i mieszczańskiej, skierowanej przeciw żydom, i kró-

lewskiej — obstającej za żydami nietylko w Polsce, ale i na Litwie, gdzie żydzi przez Witolda mieli już różne przywileje.

Walka mieszczaństwa polskiego z żydami dochodzi do wrzenia za Zygmunta. Walkę tę kończy dekret królewski z 1521 r., oznaczający formalną zagładę handlu żydowskiego. Dekret jednak zostawał dekretem, a handel żydowski rozwijał się mimo zakazów, gdyż żydzi potrafili obchodzić prawa i zyskiwać korzystne dla siebie przywileje.

Ziemiaństwo za pomocą szeregu ustaw w dobie rządów szlacheckich zdołało obronić się przed lichwą żydowską, niebezpieczeństwo ze strony izraela zostaje odsunięte na plan dalszy. Możnowładca i szlachcic widzi w żydzie jednostkę mogącą zawsze dostarczyć pieniędzy na użycie życia. Rozpowszechnia się faktorstwo, żydzi stają się prywatnymi doradcami w osobistych interesach szlachty i panów. Jeżeli jednak chodziło o państwo, szlachta będzie wydawała przeciwko żydom prawa i w teorji Polskę od niebezpieczeństwa zalewu żydowskiego bronić. Daleką jest jednak od tego, jeśli chodzi o wykonanie praw— wystarczało bowiem szlachcie przeświadczenie, że rozumie kwestję żydowską w Polsce, jako rzecz niebezpieczną dla kraju, o czem zresztą jasno wypowiadali zdanie swoje najwybitniejsi nasi pisarze jak Rey, Orzechowski, Modrzewski i inni. Ale ze strony szlacheckiej nie widać pomimo nawoływań pożądanego czynu—przeciwnie bierność, wypływająca nietyle z tolerancji ile z charakteru polaka. A kiedy szlachta doszła do rządów i stała się w kraju przemożną, kiedy zaczęła wskutek egoizmu i zazdrości o władzę swą, stanowisko i znaczenie podkopywać byt mieszczaństwa, nie umiejąc nakreślić celowego planu gospodarki, żydzi skorzystali z takiej sytuacji i panoszyli się w dalszym ciągu na ziemiach Rzplitej W miarę rozstroju społecznego w XVII st., żydzi skupiają się w organizacje gminne, rządzone przez Kahały; mają swoje szkoły, sąd, zajmują się sprawami politycznemi. Z czasem poszczególne organizacje gmin żydowskich łączą się w jedną, czyli następuje zcentralizowanie. Tym sposobem stają się jeszcze bardziej niebezpieczni dla Rzplitej, osiągając siłę nietylko już pod względem ekonomicznym, ale i coraz większej samowiedzy we wspólnej akcji, poświęconej wzajemnym interesom, a zawsze ze szkodą społeczeństwa polskiego.

Stan ten trwa po dziś dzień.

Już za Zygm. Aug. uzyskali żydzi zupełną autonomję, otrzymali swój rząd samodzielny, który kieruje wszelkiemi sprawami dotyczącemi interesów wogóle Izraela. W polityce swej względem Polski stosują się pozornie do uchwał sejmowych, przez wiek XVI i XVII, posiadając ogromny wpływ na wszystkich współplemieńców, osadników w Polsce.

Organizacje żydowskie — Kahały i zjazdy kuły nieustannie różne pomysły do walki ze społeczeństwem polskiem, które bardzo często było przez żydów zdradzane, czego mamy liczne dowody w historji.

Nie była opatrzną polityka polska w stosunku do sprawy żydowskiej—pisze w zakończeniu swego dziełka p. A. Marylski. Nie było wybitniejszego pisarza, któryby nie zwracał na to uwag, nie podkreślał groźnej sytuacji w stosunkach polsko-żydowskich.

I. Maciejowski.

KORESPONDENCJA Z KRESÓW.

... Nieproporcjonalnej wielkości bodiaki, do żydowskich świeczników podobne, stoją po obu stronach starego gościńca, jak strażnicy kresów. Chrzęstliwie, niechętnie odpowiadają na zaczepki wiatru, który nie przestaje tu nigdy radośnie hulać po rozłogach. Gościniec kilometrowej szerokości, wspomnienie szerokiego, pańskiego gestu, co tu niegdyś władał, gościniec, którym chorągwie w linje rozwinięte szły do ataku...

Szeroki, stary gościniec...

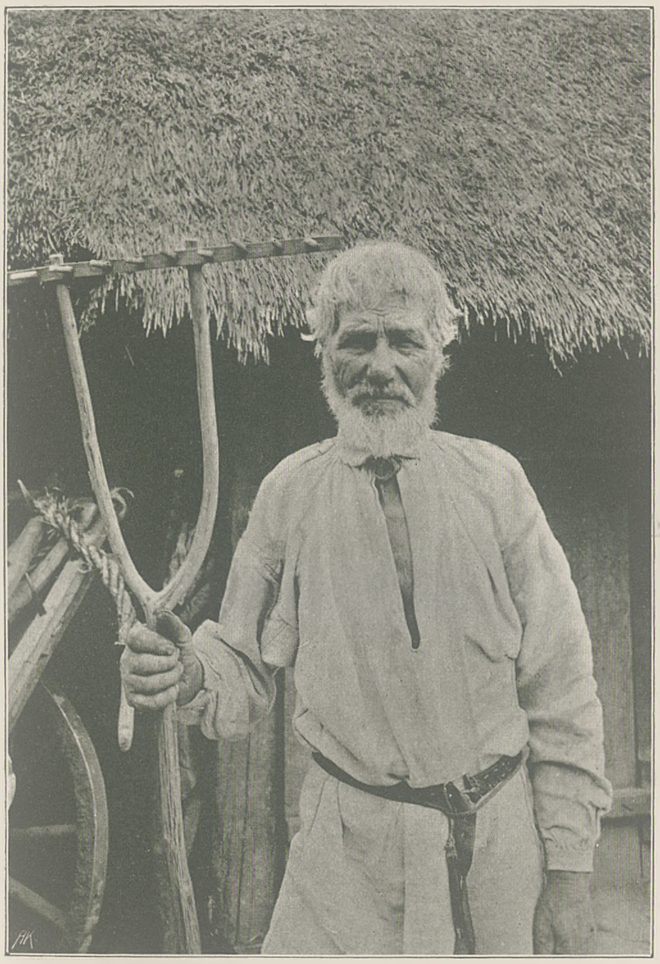
Zmieniło się tu wiele od czasu, gdy chadzali nim ostatni polscy rycerze; zaorane stepy, na których Emira Rzewuskiego konie się pasły; na cerkwie zamienione dumne białe klasztory po wysokich wzgórzach; na koszary obronne zameczki, a w tej, lub owej wsi typowy, rozłożysty dwór polski z pod zielonej blachy żałośnie wygląda, jakby się wstydził tego „prawosławnego“ nakrycia. (W tych stronach bowiem kolor dachu bywa manifestacją przekonań).

I choć Mohort nie poznałby swojego kraju, choć zasadniczo zmienił się pejzaż tak w rysunku, jak kolorze, wiele tu jeszcze z przeszłości zostało i żywy ślad po owym szerokim, polskim geście.

Widny on w starych budowlach i szerokich królewskich gościńcach, dawnych groblach stawowych, stojących dzisiaj nieużytecznie wśród łąk, starych kościołach, dworach i mogiłach.

I wiatr o nim pamięta; ciągle te samą pieśń, dawnej mocy, śpiewa, przypomina. Wiatr jest kon-

serwatysta, przytem trudno mu nauczyć się czegoś nowego. Długo, bardzo długo, słyszeć musiał tę samą nutę w tętentach koni, szumie szkrzydeł i fur-



Dziadźko.

kaniu chorągiewek, aż wyuczył się jej na pamięć i prędko nie zmieni. Przeto spokojnie mogą spać duchy po starych kurhanach, śniąc, że nic się nie zmieniło, bo wiatr im dawną, za życia spamiętaną pieśń, jako niegdyś śpiewa. Lud też pamięta bezwiednie i nigdy wspomnienia tak nie opadną człowieka, jak gdy w drodze przed jednym dworem powie Rusin, w formie objaśnienia z szacunkiem: „To pan“, a dalej, gdzie dach zielony, a właściciel potentat miljoner, — z lekceważeniem: „To nie pan, to baryn“ (autentyczne).

* * *

A śliczny ten lud wołyński i dziwnie sympatyczny w swojej pierwotności. Śliczny—trzeba jednak szybko dodać, że w połowie; „dziadźko“ (chłop) każdy z przyrodzenia jest kosmaty, niewonny i złodziej; a dziewczątka za to i „titki“ — jak róże. Śmigłe i wyrośnięte, długokończyniaste o prześlicznej formie stóp i rąk i nieraz klasycznych prawie rysach. Gdy do żniwa lub buraków wyjdzie zastęp tych Horpynek, Parasek, Warek albo Hapek, kraśnieje cały świat od ich wesołych twarzy i barwnych kostjumów.

A śpiewają, jak anioły. Piękna metoda śpiewu, obowiązująca w Królestwie, która oddaje pierwszeństwo dziewusze, najżałośliwiej ciągnącej przez nos, nie przeszła, na szczęście, za Bug i prawdziwą przyjemnością jest słuchać miejscowych dźwięcznych chórów, na głosy zebranycb. Dziadźko, jak się wyżej rzekło, jest brzydki z urodzenia, a złodziej z amatorstwa. Lapidarne prawo pięści jest jedynem, które przemawia mu do przekonania, a uczciwego „oberwania w kark“ nie uważa sobie za ujmę bynajmniej. Na tem tle emigrant z Królestwa, przyzwyczajony do stosunków z kulturalniejszym i „uświadomionym“ ludem, spotyka nieraz dość zabawne niespodzianki: Ot, przy siewach n. p., młody pomocnik gospodarski „wyrżnął“, zgoła zresztą delikatnie, „podziennego“ za niedokładną robotę. „Podzienny“, dziadźko jak dąb, upadł twarzą w proch i leżał dobrą chwilę, jak nieżywy. Młodzieniec zdrętwiał i odszedł w najwyższym stopniu niezadowolony z siebie; „psiakrew, a psiakrew; podłość prawdziwa uderzyć tak człowieka... a zdawało mi się, że zaledwie...“

Po godzinie, pełen niewygasłych wyrzutów sumienia, wrócił do siewników. Człek skarcony wesoło prowadził konie, wyśpiewując tradycyjne: „nawaryła, napekła, — ne dla koho — dla Petra“... „A co?“ — zapytał młodzian karbowego (ataman



Woły (fot am. p. M. Nowomiejskiego).

ludzki w języku miejscowym) — „nic mu się nie stało?“.—„Oj paniczu, paniczu, co też panicz myśli! a to przecież on się nie z bólu przewrócił, tylko



Popłoch (oset). Fot. am. p. L. Ostaszewskiego.

o zmierzchu i żywiących się owocami. Podobnie ładnych pojęć znaleźć można więcej, dziwnie mało znanych.

... Naprzykład wiemy dobrze wszyscy, że Japończycy mają takiego sobie bożeczka, specjalistę od bawienia dzieci na tamtym świecie, któremu matki znoszą w ramiona mnóstwo okrągłych kamyków, żeby miał z czego stawiać z dziećmi domki. Zwyczaj ten jest powszechnie wiadomy i bardzo nas rozczula. Ręczę zaś, że mało kto zna przyczynę rusińskiego postu, wzbraniającego jeść owoce przez parę tygodni?

Oto, kto post ten przełamie, tego dziecko *nie dostanie w raju jabłek do zabawy* i będzie płakało, patrząc na inne, szczęśliwe, których rodzice oparli



Białoruś. Fot. am. p. Leona Ostaszewskiego. Pastuszkowie.

się łakomstwu. Łzy umarłego dziecka są bardzo ciężkie dla matki, to też post ten jest jednym z najstaranniej przestrzeganych.

Przyznajmy, że to jest bardzo głębokie i ładne.

Z.

przez grzeczność!! To mądry dziadźko, chciał paniczowi przyjemność zrobić, on nawet nie poczuł..."

* * *

Wsie ogromne, białe, nad stawami w amfiteatr rozłożone, sadami przerosłe. Na górce cerkiew, zazwyczaj słaba strona obrazu, bo haniebnie kolorowa, a tuż za wsią cmentarz—sad.

Każdy tu prawie cmentarz obsadzony jest drzewami owocowemi, których owoc poświęcany, zrywać go nie wolno („pip“ zjada, ale cichaczem, nieoficjalnie), dla dusz zmarłych w tej wsi przeznaczony.

Bardzo subtelna poezja tkwi w tem pojęciu dusz, zlatujących, niby ptaki, na gałęzie drzew

MATKA.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

Z sakwą przewieszoną przez plecy, z kijem w ręku — stanęła raz jeszcze na progu obejścia i obejrzała się po za siebie. Wązkie, błotniste podwórko, nizka chata ze strzechą pogarbioną, zielonym aksamitem mchu pokrytą, przyźba pod zczerniałą ścianą, w głębi stodoła, zasłonięta rozłożystą wiśnią, białą od kwiecia, rozświergotaną od wróblich głosików, wszystko to ogarnęła pożegnalnem spojrzeniem, w którem z przyzwyczajenia była troska gospodyni tyloletniej i przywiązanie nieme, a głębokie, zwierzęce, instynktowne przywiązanie do swojego kąta. Kiwała wolno, wolno małą, suchą głową, okrytą białą chusteczką; po drobnej twarzy, ciemnej, jak rzeźba w drzewie, w tysiączne, twarde zmarszczki pooranej, toczyły się grube łzy z fałdy w fałdę, aż znikały gdzieś koło ust bezbarwnych, bezzębnych, starczo zaciśniętych... Stałaby może tak długo, bez końca, snując z dna pamięci cały różaniec lat tu przebytych, pracowitych, cichych, w wiecznem krzątaniu mrówczem — lecz z warzywnego sadu za chatą wzbił się krzykliwy ostry głos kobiecy i niemile zatargał ciszą. Babina obejrzała się trwożnie, z podełba, poprawiła sakwę na ramieniu i podreptała drobnymi kroczkami w błotnistą ulicę. Z podwórza wysunął się za nią stary, żółty kundel z zapadniętymi bokami, z pokudłaną szerścią i wlókł się przy jej nogach ze zwieszonym łbem.

Obejrzała się na niego i aż stanęła przestraszona:

— A do chaty! a do chaty! Zagraj!.. Wracaj do chaty! A ot! powiedzieć gotowi, że ja psa umyślnie zbałamuciła!..

Lecz pies odpędzić się nie dawał. Kulił z pokorą ogon pomiędzy nogi i dalej dreptał po błocie za swoją starą panią. Rozczuliła ją ta wierność.

— Ot! głupi pies, a od ludzi lepszy, od synka rodzonego!..

Znowu łzy niepowstrzymanie toczyć się zaczęły z bruzdy w bruzdę, z fałdy w fałdę — aż gorzkim i słonym smakiem zalewały usta... Wstydziła się tych łez, wstydziła swej sakwy żebraczej i kija bezdomnej włóczęgi, więc za płotkami ogrodów przeszła na drogę, która okrążała wieś po za stodołami.

Mijała obejścia jedne po drugich: w każdem miała kumów, krewnych; lecz właśnie dlatego unikała ich. Wstydziła się... wstydziła za syna!..

Oj! ten Mikołaj, jedyny, rodzony... jak ciężko płakać przez niego!.. Każda łza boli, jak z żywego serca utoczone krwi krople — a ciężka, jak kamień z mogiłek — a gorzka, jak ten śmiertelny jad... Minęła już wioskę, tę swoją rodzoną, po za którą świata nie znała, gdzie wiek swój długi przeżyła — i stanęła niepewna na drodze. Dokąd tu iść?.. Wygnali w świat szeroki—a jakiż ten świat? Życie jej dobiega końca — a ona świata tego nie zna wcale!.. Na tle ciemnego sosnowego boru, na wzgórku piasczystym wznosi się cmentarz. Kilka sosen rozrosłych, posępnych, z wykrzywionymi konarami, ocienia szarą kapliczkę mogilną — i las drobnych, pochyłych, szarych także krzyżyków. Na niektórych wiszą fartuszki z płótna zgrzebnego, czerwonymi, krzywymi krzyżykami wyszyte. Wiatr porusza nimi i biją, jak skrzydła nietoperzy.

Natala wzrokiem odszukała znany dobrze kącik: tam stoi zmurszały krzyż nad grobem jej nieboszczyka i dwoje mniejszych, pod którymi śpią dzieci... Nieboszczyk twardy był człowiek, ale sprawiedliwy — i póki żył — panowała przy nim. A ten jej Jasiek pierworodny — taki jakiś miękki, serdeczny, garnący się do niej, inny od Mikołaja — gdyby żył!..

Ale cóż?... nie wróci ziemia macocha, chyba jej tam iść do nich pod piasek żółty, w cień sosen...

Słońce wiosenne, mocne, radosne, młode — zalewało świat złotą powodzią. Leniwa rzeczka Kopanica wśród poszarpanych czarnych torfowych brzegów migotała promienną łuską aż oczy bolały patrzeć. Z lemieszy, prujących tłustą, ciężką ziemię za rzeczką, za łąką, skry słoneczne tryskały, jak pod młotem w kuźni. Woda, płynąca z pod zastawy młynu, spiesząca, spieniona lśniła, jak jedna smuga żywego srebra.

I wesołoż było, wesoło na tej łące za wioską, młodziutką zielenią pokrytej! Kobiety słały pod jasne słońce płótna wytkane wciągu ciemnych dni zimowych. Jedne je rozciągały długim pasem po murawie, inne chodziły koło już rozesłanych, polewając je wodą z drewnianych wiaderek. Płonęły w blasku barwne spódnice, tkane w piękne kolorowe pasy, pąsowe gorseciki, pąsowe czapki na głowach — białe rękawy koszul. A rozmowy, śmiechy, nawoływania mieszały się w jeden wesoły gwar, niby sejm wróbli w pierwszych promieniach wiosen-

nego słońca. Dołączyło się do tego gęganie ogromnego stada gęsi, które wrzaskliwie toczyło się ku wodzie, prowadząc za sobą młode, niby żółte kulki puchu, niezdarnie poruszające się na murawie.

Wiatr rzeźwy, szumiący — hulał po błoniu, podrywał leżące płótna, targał fartuchy, wydymał spódnice, stroszył pióra piskląt gęsich, suszył kałuże i, niczem nie tamowane, powietrzne fale z krańca w kraniec szerokiego widnokręgu przetaczał.

Babina stała na drodze, przyjaźnie śledząc matowemi oczyma ruch na łące.

— Ot! natkały baby przez zimę, ajej, ajej!.. A Chawronia tyle ma co na owinięcie palca, wstydzi się tu przynieść, na przygumieniu rozściela!.. Wiadomo, hultajka!.. Co u takiej będzie... Pokiwała głową nad lenistwem synowej i szła dalej omijając grupy kobiet na łące.

Po za rzeczką droga wiła się błotnistem pastwiskiem aż przepadała w ciemnych głębiach dworskiego lasu. Same nogi niosły ją po tej drodze: w lesie tym tyle razy chyłkiem zbierała grzyby, jagody, nawet ziele dla świń albo liście suche pod chleb, nadsłuchując czy nie idzie kto z dworskich... Zdarzało się też i jawnie, legalnie, za kartką, zbierać suche gałęzie na opał. Do samego dworu, dalej za las, chodziła rzadko. Takie stare grzyby, jak ona, niezdatne do dworskiej roboty; a jak słychać było, u młodego pana, co ożenił się niedawno, a pierwej gdzieś za granicą siedział, wszystko robiły maszyny... nawet taką babską robotę, jak wybieranie kartofli.

Szła wolno piękną, szeroką drogą leśną, trochę popłakując, trochę się rozglądając z dziecinną ciekawością prostej pierwotnej duszy. Orzechów powinno być dużo w tym roku, jeśli błyskawica ich nie popali latem — a poziomek, poziomek!.. Gdzie tylko cień mniej gęsty, gdzie stoi ścięty pień, tam wszędzie się ściele biały kobierzec kwitnących poziomek... Nad niemi wiotkie, giętkie, w jaskrawą zieleń młodych, miękkich listków strojne — strzelają łodygi malin. A wyżej jeszcze, jasno aksamitna, słońcem prześwietlona aż do przejrzystości — czarująca zieloność leszczyny... Pełno obietnic na lato, znojne, bogate, rozrzutne w swojej wspaniałości — zbliżające się lato. Dobrze w tym lesie... Cicho, wiatr gdzieś przypadł u jego wrót zdyszany; pachnie żywicą, która przygrzana słońcem ścieka jasnemi kroplami po ostrej brunatnej korze świerków; pachną młode igły, jasnymi pękami na końcach gałęzi strzelające; żółte świeczki na ciemnych krzakach sośniny i delikatny pyłek nasienny, jak złota mgła, unosząca słę w powietrzu.

A w tej ciczy zielonej i wonnej — harmonijny gwar drobnego, ruchliwego życia ptaszęcego. Szmery skrzydełek, ćwierkania, śpiewy, gonitwy w gęstwi gałęzi, pracowite loty za żerem dla piskląt, radosna, świergotliwa praca koło gniazd. I tysiące drobnych serduszek drżących niepokojem nad słodką tajemnicą gniazdka; czarne ruchliwe oczka wypatrujące z poza zielonej zasłony — wroga szczęścia rodzinnego.

(D. c. n.) *M. Domańska.*

Z DZIEDZINY KOSMETYKI I HYGIENY.

ODPOWIEDZI I RADY.

Otyłej. Herbata D-ra Daloffa oraz pigułki Oxylenowe, stosowane przez 3 miesiące, zbyteczny tłuszcz radykalnie usuną. Są to środki wypróbowane i nieszkodliwe.

Zmartwionemu. Operacje zeza wykonywane są w Kalotechnice, Marszałkowska 116, przez lekarzy specjalistów. Dla bliższego porozumienia się niech Pan się pofatyguje osobiście w godzinach przyjęć od 4 — 6.

Lwowiance. Wągry i pryszcze usuną skutecznie płyn Vesta oraz pigułki alkaliczne. Za bytnością w Warszawie najlepiej byłoby usunąć wągry mechanicznie oraz zastosować kilka seansów masażu wibracyjnego, który wywołałby prawidłową funkcję gruczołów łojowych a wągry i pryszcze już by się nie powtórzyły. Masaż taki oraz usuwanie wągrów są specjalnością Kalotechniki, zakładu, poświęconego specjalnie pielęgnowaniu urody i usuwaniu wszelkich wad cery.

Maryli. Przeciw piegom i opaleniźnie polecam wypróbowany środek, krem angielski D-ra Orgley. Na noc smarować twarz kremem, rano zaś po umyciu wytrzeć się płynem Vesta, a cera będzie idealnie białą i gładką. Płynu Vesta żądać tylko z etykietą Kalotechniki, gdyż pojawiły się bezwartościowe falsyfikaty.

Wdowie. Do masażu twarzy przeciw zmarszczkom najlepiej nadaje się krem Radium, który, jak stwierdzono naukowo, działa nadzwyczaj ożywczo na tkanki skórne i włókna sprężyste, przez co skóra obwisła robi się jędrną i elastyczną. Naturalnie, że masaż ten trzeba stosować przez czas dłuższy przy cerze tak zaniedbanej. Do umycia polecam Wodę różaną radioaktywną z otrąbkami Vesta. Na dzień przypudrować twarz hygienicznym pudrem Vesta.

Wymienione tu środki wysyła Kalotechnika, Marszałkowska 116. telef. 16-73, za zaliczeniem, oraz w Radomiu Cieszkowski, w Krakowie Miklaszewski, pl. Dominikański 1, we Lwowie Pawłowski, Akademicka 21, w Lublinie Bernatowicz, w Sosnowcu Jagiełłowicz, w Wilnie Grużewski.

M-me LENA



Założony w 1861 roku.

Skład Broni p. f. „J. SOSNOWSKI" Właściciel C. LISOWSKI

Trębacka 9 WARSZAWA Telefon 47-47

POLECA BRONIE NAJLEPSZYCH FABRYK, KTÓRYCH POSIADA
PRZEDSTAWICIELSTWA NA KRÓLESTWO POLSKIE I ROSJĘ
a mianowicie: HOLLAND & HOLLAND Ltd., Londyn; WESTLEY RICHARDS & Co. Ltd. Londyn, bronie uniwersalne „EXPLORA" i „FAUNETA"; G. DEFOURNY — SEVRIN, Liège; MANUFACTURE LIÉGEOISE d'ARMES à FEU, Liège — dubeltówki z lufami ze słynnej stali *Cockerill* do prochu bezdymnego: bezkurkowe od Rb. 90.—, kurkowe Rb. 44.—; JOH. SPRINGER'S ERBEN, Wiedeń — bronie szrutowe, sztucery dubeltowe najnowszych typów, sztucery MANNLICHER-SCHOENAEUR; E. SCHMIDT & HABERMANN, Suhl, — sztucery wszelkich typów. Stale na składzie wielki wybór broni: **James Purdey & Sons,** Londyn; **W. W. Greener,** Londyn; **Charles Lancaster & Co. Ltd.,** Londyn i t. d. i t. d.
Najlepsze naboje szrutowe w gilzach firmowych **„J. Sosnowski, Varsovie".** Cenniki na żądanie.

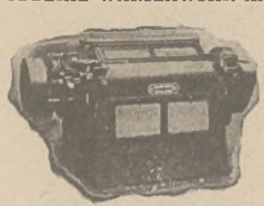
NAWOZY SZTUCZNE

NAJKORZYSTNIEJ NABYWAĆ
w Warszawskiem Tow. Akcyjnem **Ludwik Spiess i Syn** w Warszawie.

TOWARZYSTWO BUDOWY MŁYNÓW
oraz Sprzedaż Maszyn i Przyrządów Młyńskich

ANTONI ERLANGER i S-ka

w MOSKWIE
Firma egzystuje od roku 1860.
ODDZIAŁ WARSZAWSKI: Al. Jerozolimskie 21, tel. 158-79.



Specjalność: budowa młynów walcowych automatycznych i gospodarskich.

Turbiny wodne, maszyny parowe, motory elektryczne, instalacje i wszelkie artykuły, wchodzące w zakres młyno-budownictwa.

NA ŻĄDANIE KATALOGI I OFERTY.



LINGERIE POUR DAMES,
BONNETERIE, BLOUSES
TROUSSEAUX.

Gustaw Żmigryder

Varsovie Tel. 93-52 Czysta 2

L. WRÓBEL

WARSZAWA

Krakowskie Przedm. 25.

POLECA:

Jarzębiak galicyjski,
Wina, Koniaki, Likiery,

jak również

towary kolonialne,
konserwy, owoce

w najlepszych gatunkach
po umiarkowanych cenach.

Fabryka powozów A. HERTEL

W WARSZAWIE, DŁUGA Nr. 29, TELEFON Nr. 22-21.

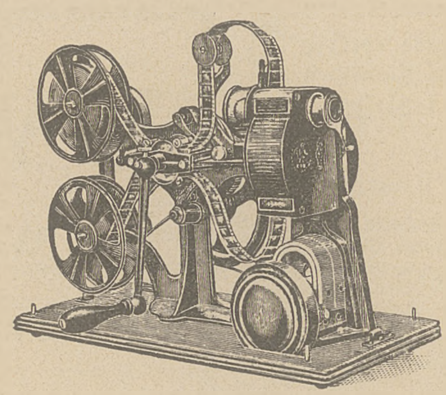
O czem świat marzy to i osięga.

Od chwili, gdy illuziony zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu, ludzie marzyli, jakby to dobrze było, gdyby można siedząc sobie wygodnie w fotelu, w otoczeniu swej rodziny i bliskich znajomych — u siebie w domu, wpatrywać się w takie obrazy, jakie by się widzieć chciało, nie będąc zmuszonym patrzeć na okropne dramaty, jakiemi przeważnie pasą publiczność illuziony.

Siedzieć u siebie w fotelu, nie pchać się i nie tłoczyć, nie wdychać ciężkiego, najrozmaitszymi wyziewami zatrutego powietrza, nie stykać się z Bóg wie jakiemi ludźmi, nie narażać siebie i swoich najbliższych na niebezpieczeństwo, które pożar, lub nawet tylko panika wywołać może. Długi czas zdawało się to niemożliwem— wszak taśmy są tak straszliwie łatwopalne, przytem tyle wydzielają swędu, że niepodobieństwem odważyć się trzymać je w domu. Przecież chcąc mieć kinematograf w domu, trzeba posiadać całą instalację elektryczną bardzo skomplikowaną i kosztowną, lub co gorzej palić światło Drumonda, trzymając w domu balony gazu wybuchowego. W illuzjonach przy bardzo ostrych przepisach policyjnych jednak się zdarzają często wypadki pożarów i panik, które pochłaniają dziesiątki i setki ofiar, pomimo, że tam są ludzie kompetentni do obsługi. Cóżby to się działo w domu?

KINEMATOGRAF SALONOWY

„KOK"



CENA **175** RUBLI.

A jednak to, o czem ludzie marzyli, co się zdawało nie możliwem, stało się faktem. Dziś, dzięki usilnym, długoletnim staraniom znanej powszechnie fabryki Braci Pathé w Paryżu, Tow. Akc. z kapitałem 30,000,000 fr. mamy *taśmy niepalące się*, zatem absolutnie bezpieczne, mamy kinematograficzne aparaty, przystępne w cenie, *które nie wymagają* żadnej absolutnie instalacji.

Kosztem 6,000,000 fr. Tow. Akc. Braci Pathé pobudowało fabrykę dla wyrobu tasiem *niepalących się*. Taśma taka przy zetknięciu się z ogniem, nie pali się, lecz tylko się topi, nie wydzielając żadnego swędu ani czadu. Aparaty, których rysunek pomieszczamy są idealnej konstrukcji. Całe swoje przeszło 20-letnie doświadczenie fabryka Pathé spożytkowała, by zbudować idealny, pod każdym względem aparat.

Kinematograf salonowy „Kok" jest nie duży, łatwo przenośny, sam sobie, bez żadnego wysiłku, bez żadnych baterji wytwarza dla palenia małej elektrycznej lampki potrzebny prąd, przy pomocy małej lecz solidnie zbudowanej dynamo-maszynki. Obsługa kinematografu „Kok" jest tak łatwa, że każdego w kilka minut można obznajmić.

Kinematograf salonowy „Kok" dający duże (150×120 cm.) obrazy, bez nieprzyjemnych drgań, winien się znajdować w każdym zamożniejszym domu, w szkołach, w klubach, resursach, domach ludowych. Cena tasiem jest bardzo niska, bo kosztuje tylko po 22 kop. za metr, a prócz tego można taśmy abonować na dni, miesiące, półrocze i rok.

Repertuar, zastosowany do celu, obejmuje obrazy naukowe, z życia zwierząt, ptaków, ryb, roślin i ludów, bajki, sztuki magiczne i cyrkowe, widoki przyrody i miast, sceny komiczne, wesołe i dowcipne, komedje, tańce klasyczne, balety i t. p.

Przedstawicielstwo na kinematografy salonowe „Kok" na Królestwo Polskie powierzyła fabryka Braci Pathé znanej w Królestwie i po za jej granicami polskiej firmie **Adama Klimkiewicza, w Warszawie, przy ul. Wierzbowej Nr 8,** dokąd po cenniki, spisy taśm i wszelkie objaśnienia zwracać się należy.

Jesteśmy przekonani, że kinematografy „Kok", wkrótce znajdować się będą w każdej szkole, w każdym domu zamożnym, w każdym domu ludowym dla nauki i godziwej rozrywki, znajdą wszędzie uznanie i poparcie, na jakie zasługują.

Polonus.

SPORT i HODOWLA

Przed sezonem.

Obecna, przejściowa pora roku nie sprzyja ćwiczeniom sportowym: zimowe już się skończyły, letnich zaś jeszcze rozpocząć nie można. Wogóle po za polowaniami, sporty zimowe są dalekie u nas od tego rozwoju, jakiego dosięgły one za granicą. Łyżwiarstwo, z powodu braku odpowiednich warunków, nie ujęte w system, jest traktowane po dyletancku; gdzieindziej bardzo popularny „hockey“ na lodzie ma garstkę zwolenników, a najgorzej się dzieje w zakresie sportu saneczkowego. U nas, w Królestwie, brak terenów, tam zaś, gdzie one są, niema odpowiednich urządzeń. Temu właśnie należy przypisać ów tragiczny wypadek w Zakopanem, który wstrząsnął ubiegłej zimy opinją publiczną, wywołując ostre zarzuty pod adresem gospodarki, prowadzonej w uroczym zakątku Tatr.





Tegoroczne zawody narciarskie na Kalatówkach. Fot. am. p. K. Wernika.

Wszyscy dobrze pamiętają przebieg tej katastrofy: od restauracji w Kuźnicach do Zakopanego z szaloną szybkością pędził „bobsleigh“, którego osadę tworzyły trzy panie i dwaj panowie. Na drodze stały dwa wózki góralskie; sportsmen, kierujący saneczkami, nie zdołał wyminąć przeszkody i „bobsleigh“, stoczywszy się w rów, z całym impetem uderzył o drzewo. Następstwa były fatalne: dwie z pań śmierć poniosły na miejscu, pilot zaś doznał groźnych potłuczeń.

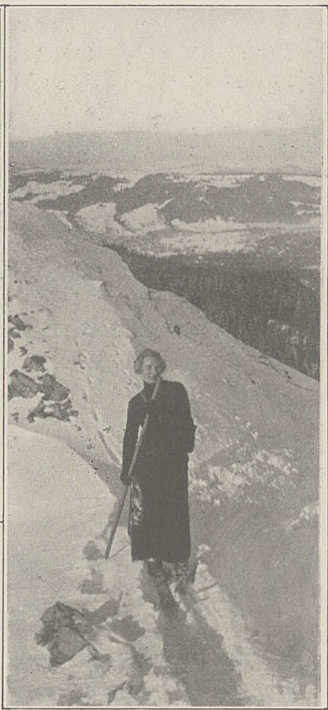
Szczegóły dowodzą, że jazda odbywała się na *drodze publicznej*... Jest to fakt zdumiewający, który sportsmenom zagranicznym wydałby się wprost nieprawdopodobnym. Sport saneczkowy jest w Europie bardzo rozpowszechniony, ale wszędzie odbywa się na terenach specjalnych, wskutek czego spotkanie przez „bobsleigh'i“ przeszkód jest wyłączone.

Wogóle jazda na saneczkach z góry na dół, nie należy do najbezpieczniejszych, nie wynika stąd jednak, aby ludzie nie uprawiali tego sportu. Wskutek właściwości naturalnych, człowiek o własnych siłach może poruszać się z szybkością bardzo umiarkowaną i właśnie dla tego jest on zwolennikiem pędu. Nie wyrzekając się więc jazdy „saneczkowej“, należałoby w Zakopanem urządzić tory specjalne; wzorów nie zabraknie, dostarczyć ich może wiele miejscowości w Szwajcarji, przedewszystkiem zaś St.-Moritz i Davos, a z bliższych Semmering pod Wiedniem. Tam sportsmeni nie tylko jeżdżą na saneczkach, ale odbywają nawet wyścigi. Niedawno w St.-Moritz rozegrano „Bobsleigh-Derby“; startowało dwadzieścia osad na saneczkach, mających swoje imiona, jak konie wyścigowe, łodzie, bądź jachty... Ale oczywiście zapasy te odbywają się na torach odpowiednio zabezpieczonych i dostępnych podczas jazdy tylko dla „bobsleigh'ów“.

Przed rozpoczęciem u nas letnich ćwiczeń sportowych, a sądząc z odbywanych u nas w r. z. w parku Agrykola, będą one ożywione, warto zwró-









Fot. am. p. J. Jaroszyńskiego.

Narciarstwo.

cić na to uwagę, że w Berlinie w roku 1916 odbędą się międzynarodowe igrzyska olimpijskie. Niedawno, komitet organizujący VI Olimpiadę współczesną, wystosował odezwę do „wszystkich narodów świata“, wzywając ich do współudziału w zawodach sportowych.

Dotychczas, nie wyłączając zeszłorocznej V Olimpiady w Sztokholmie, Polacy, jeśli byli obecni w „stadjonach“ to tylko jako widzowie, wstrzymali się zaś od uczestnictwa czynnego. Jest to objaw bardzo niepożądany, który powinien uledz zmianie radykalnej, nie należy bowiem pomijać żadnego terenu i trzeba korzystać z każdej sposobności, przypominając światu o istnieniu Polski, korzystać tem gorliwiej, że nie braknie przyjaciół, pragnących pogrążyć ją w zapomnieniu.

O tem, jak wielką rolę w sporcie odgrywa ambicja, mówić chyba nie trzeba. Czy Bleriot, szybując po nad kanałem La Manche z Francji do Anglji, albo Chavez po nad Simplonem z Szwajcarji do Włoch, byliby dokazali tych czynów bohaterskich, gdyby ich nie przepełniało pragnienie okrycia sławą nie tylko siebie, ale imienia francuskiego?

Tamci ryzykowali życie, aby zaś pozyskać prawo do uczestniczenia w igrzyskach olimpijskich nie trzeba kłaść na szalę swojego istnienia, ale wystarczy, rozumie się przy odpowiednich zdolnościach, nakład pracy i wytrwałości.

Podczas Olimpiady w Berlinie w r. 1916 żadna gałęź sportu nie będzie pominiętą. Odbędą się: konkursy hippiczne, pływackie, wioślarskie, na rowerach, piesze z sławnym biegiem „Maratońskim“, ćwiczenia gimnastyczne, gry w tenisa i piłkę nożną, strzelanie do celu i t. p.

Wszystkie te sporty mają u nas licznych zwolenników i nic dziwnego, bo odwaga, siła i zręczność, których one wymagają, są jednemi z naszych cech narodowych.

Sezon więc letni powinni nasi sportsmeni rozpocząć z planem przygotowania się do udziału w zapasach olimpijskich, które Berlin organizuje na r. 1916.

Naszym stowarzyszeniom sportowym myśl tę polecamy gorąco.

Czasu — dosyć: trzy lata. *Pal.*





Wycieczka sąsiadów. Z teki p. W. Sarjusz-Bielskiego.

Sport jazdy konnej.

(Według studjum d-ra Hojnackiego).

I.

Krysztof Dorohostajski w swej w roku 1603 wydanej „Hippice“ t. j. księdze o koniach, potrzebnej i krotochwilnej młodości zabawie, ku pożytkowi ludzi rycerskich na jasność wydanej — jak brzmi tytułowa karta, pisze: „chcemy li tedy i samym wierzyć poetom, bez wątpienia, że koń jest najpierwsze zwierzę, którego po rozrządzeniu onego chaos, słońce dla swego biegu używało; gdyż bez koni, których 4 do wozu potrzebuje, drogiby swej odprawować nie mogło, o czem świadczy Wirgiljusz:

„Dzienną dziewiątą zorzę z jaśniącą światłością,
Faetontowe wiozły konie z Opatrznością!“

Nie goniąc jednak z Wirgiljuszem na skrzydłach poetyckiej fantazji, stwierdzić mimo to należy, że znajomość konia sięga najbardziej zamierzchłych czasów, a zbratanie konia z człowiekiem jest tak dawne, że, biorąc się do wykładu o jeździe konnej, ledwie, że nie historję rodu ludzkiego omawiaćby wypadło.

Z uwagi jednak, że nie mam wcale zamiaru mówić tutaj o jeździe konnej zawodowej, o jeździe z potrzeby, ani też tem mniej o koniu, jako środku komunikacyjnym, wytyczną bowiem mego dzisiejszego przemówienia będzie tylko sport jazdy konnej, t. j. wzgląd na przyjemność i ruch zdrowotny jeźdźca lub jeźdźczyni, muszę się tem samem ograniczyć do rzeczy najniezbędniejszych.

A ograniczam się nie bez pewnego żalu, bo, przeglądając historję konia i człowieka, tych 2 istot tak daleko pozornie na szczeblach rozwoju od siebie stojących, tyle przecież spotykamy przepięknych kart wzajemnego ich przywiązania do siebie i bohaterstwa, tyle widzimy dziejowych faktów, które od wzajemnego ich porozumienia się zależały, że zapoznawanie się z tą miłością człowieka do jednego z najpiękniejszych i najszlachetniejszych zwierząt i naodwrót z posłuszeństwem i przywiązaniem tego stworzenia do swego dobrego pana, mogłoby często być bardzo dodatniem spędzeniem czasu dla tegoczesnej generacji i możeby lepiej zapobiegło temu tak powszechnemu u nas dręczeniu, bądź co bądź dla człowieka cierpliwie wszystko znoszących, a bezbronnych wobec niego, zwierząt,

Jakże daleko my, ludzie etyki, ludzie kultury i cywilizacji, odbiegliśmy od pojęć z czasów np. proroka Mahometa, który pisał wśród swych przykazań: „każde ziarno jęczmienia oddane koniowi jest zapisanem przez Boga w spisie dobrych uczynków“ albo, „Bóg dopomaga tym, co się końmi zajmują i przynosi ulgę w kosztach, które na nie łożą“.

Ale wracając do właściwego tematu, to ze źródeł historycznych dowiadujemy się, że sztuka jazdy konnej znaną już była bardzo dawno. Podanie Herodota przenosi ją w epokę jeszcze mistyczną, w czasy tworzenia się kast w Egipcie. Wspominają też o niej opisy świetności miasta Teb, ze swemi 100 bramami, z których każda zionęła 200 konnymi mężami, a przypada to na trzecie tysiąclecie przed Chrystusem.

Znany jest również opis wyprawy Semiramidy do Indji na czele pół miljona jazdy w 2182 roku przed Chrystusem.

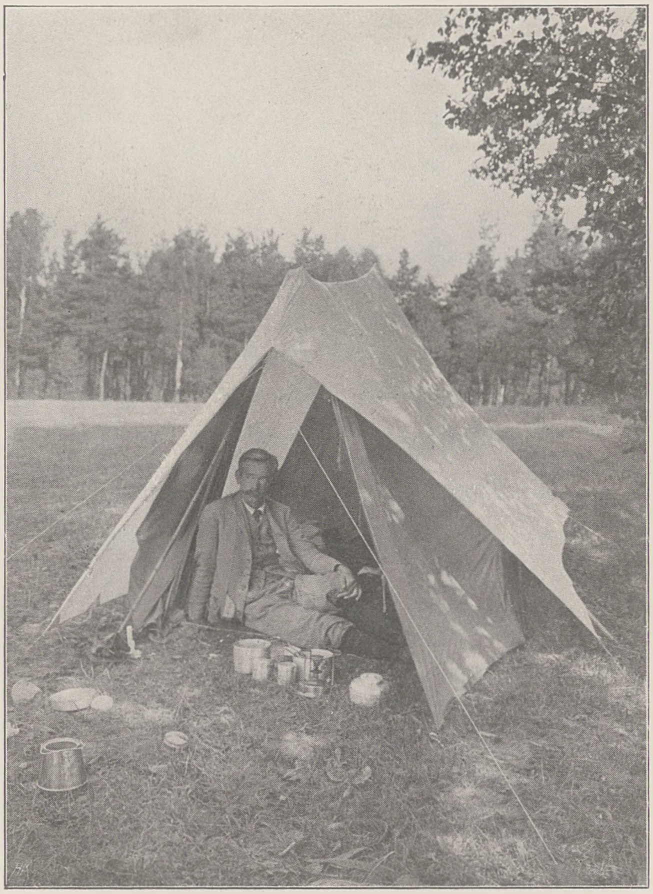
Wogóle od najdawniejszych czasów wszystkie prawie szczepy używały koni pod wierzch, czy to w walkach, czy też w wędrówkach po świecie z żonami, dziećmi i mieniem swojem.

U starożytnych Greków i Rzymian sztuka jazdy konnej stała już bardzo wysoko, znani już byli u nich nauczyciele jazdy konnej zwani equisones, jeżdżono wierzchem na igrzyskach, najsławniejsi filo-

zofowie i uczeni greccy nie gardzili tryumfami w hippodromie zdobytymi, pomiędzy zwycięzcami na igrzyskach olimpijskich widzimy Pytagorasa i Empedoklesa; wybornym jeźdźcem miał być wielki Plato; Nestor w setnym roku życia ujeżdżał sobie sam jeszcze konie, a pierwsze znane dzieło o sztuce jazdy konnej p. t. „Hippika" napisał Ksenofont. W dziele tem zaleca on jeźdźcom ów spokój, ową cierpliwość i pewność siebie, którą widzimy na Parthenońskim fryzie Fidyasza, znajdującym się w muzeum brytańskiem w Londynie, jako najwybitniejszą jeźdźca cechę.

Łagodność i cierpliwość, jaką odznaczał się Sokrates dla swej Ksantypy, miała być właśnie skutkiem wpływu Ksenofonta. Miał on zwyczaj mówić, że się tak obchodzi ze swoją żoną, jak to powinien czynić biegły jeździec, dzikiego ujeżdżający konia.

Wierzchowa jazda Polaków miała też niegdyś wielką po świecie wziętość i sławę. Mówili o nas, żeśmy się niejako rodzili i umierali na koniu. Koń był w dawnej Polsce najwierniejszym przyjacielem człowieka, stawiano mu grobowce i tęskne poświęcano rymy. Konno też Polska wyświadczała wszystkie przysługi zachodniemu światu, wpisując na wieki w historję zaszczytne dzieje naszej niezapomnianej skrzydlatej husarji.



„Camping-out", najmodniejszy sport w Anglji i Ameryce.

W żadnej ważniejszej okazji, Polak inaczej nie występował jak konno (Czapski). Na koniu stawał do elekcji królów, na koniu walczył z nieprzyjacielem ojczyzny, na koniu podróżował, polował, wstępował w szranki igrzysk i gonitw; koń witał go, wchodzącego w koło rycerskie, niosąc na sobie pierwszy zapał młodzieńca, koń żegnał go, schodzącego z tego świata, dźwigając rycerza kruszącego kopię u zwłok nieboszczyka.

Na Rusi było przysłowie „Lach bez konia, jak ciało bez duszy, jak gospodarstwo bez kota na zapiecku".

Hippiczna sława Polski doszła do kulminacyjnegu punktu swej świetności w XVI i XVII stuleciu.

Podziwiana rozrzutność posłów królów polskich, gubiących w tym czasie po brukach stolic zachodnich złote podkowy, była ostatkiem rycerskich zwyczajów, religijnie w Polsce przechowywanych.

Tak było dawniej! Powoli, stopniowo rycerska jazda wierzchem ustępowała jeździe karocą, brykami i bryczkami, a gdy i tego nie stało, zaczęliśmy chodzić piechotą, no i chodzić coraz mniej i coraz gorzej. Słusznie też lamentuje Czapski w swej pięknej historji konia pod koniec ubiegłego wieku wydanej, że „ze sławnej owej jazdy szlacheckiej, staliśmy się teraz woźnicy i podusznicy, z łóżkami i betami włóczący się, zniewieścieliśmy".

Pierwszą wzmiankę o kobietach amazonkach spotykamy u Pauzaniasza, który nam opisuje, że w Azji na granicy Hirkanji u brzegów rzeki Termodon spotkał amazonki zdobywca wschodu, Aleksander. Nad krajem panowała ich królowa Thaletris. Za zbliżeniem się Aleksandra władczyni wyruszyła z 300 amazonkami i powitała go, zeskoczywszy z konia, trzymając 2 lance w prawicy. Strój amazonek nie przykrywał ich lewej piersi i nie sięgał niżej kolan. Pausanias mówi, że nosiły pokrycia ze skór, że miały tarcze formy księżyca, łuk, kołczan ze strzałami i podwójny topor bojowy. O jeździe konnej kobiet w starożytności przechowały się liczne wzmianki. Jeździła Semiramis, Dydona Cloelja, perska królowa Rhodoguna, Zenobja, Caesonja — żona Kaliguli, Hiera piękna Myzenka, kobiety Palestyny i t. d. Jak one jeździły nie wiemy, ale Ammianus Marcelinus podaje bokowe siedzenie kobiet jako powszechnie używane; w odleglejszej starożytności jednak i kobiety prawdopodobnie po męsku jeździły.

Odtąd przez całe wieki sport jazdy konnej ma swoje wielbicielki i znakomite wykonawczynie.

Niejeden tylko poszczęk wojny dwóch dam bre-

tańskich w XIV stuleciu przypominał dawne wieki amazonek.

U nas w Polsce sport ten był również mile przez kobiety widziany i uprawiany. Pisał przecie dawno poeta:

Milej patrzeć, gdy dziewka na koniu harcuje,
Niż kiedy gonionego z goleńcem tańcuje".

A młodzież polska zwykła była powtarzać sobie głośno:

Piękniej, gdy dziewka jedzie na koniu z sajdakiem,
Niż kiedy się ociągnie ciasnym inderakiem".

Taką jest pokrótce historja sportu konnego, tego pięknego i zdrowego sportu, który podobnie, jak inne ruchy sportowe zaniedbaliśmy zupełnie, pozostając znowu grubo w tyle za innymi narodami.

Bezsprzecznie jest wielką zasługą Towarzystwa Sokołów, że, nie szczędząc ni kosztów, ni pracy, sport jazdy konnej powołał u nas na nowo do życia i troskliwie a umiejętnie go pielęgnuje.

Sport jazdy konnej zajmuje wśród zdrowotnych ruchów sportowych, wśród ćwiczeń fizycznych, pierwszorzędne miejsce.

Składa się na to wiele czynników, z których pierwszym jest ruch wszystkich członków ciała i to ruch, który, zacząwszy od biernego wstrząśnienia, jakie jeździec na spokojnym i pewnym koniu, w jego spokojnym chodzie doznaje, stopniowo w miarę szybkości konia i jego temperamentu do najbardziej czynnych ruchów, wstrząśnień i wysiłków ze strony człowieka dojść może. Pozornie osobie, która nigdy na koniu nie siedziała, wydaje się, że siedząc w siodle, siedzi się zupełnie spokojnie i żadnych nie wykonuje się ruchów, lub co najwyżej, rusza się rękoma lub może jeszcze trochę nogami. W rzeczywistości tak nie jest. Ruch ciała jeźdźca jest stosunkowo bardzo wielki, niekiedy nawet dość gwałtowny i obejmuje wszystkie części ciała. Zależy to od 3 czynników—od rodzaju chodu konia, od jakości indywidualnej samego konia, a w mniejszym już stopniu od przyzwyczajenia się jeźdźca i jego umiejętności jeżdżenia.



Hunterka (z teki p. Sarjusza-Bielskiego).

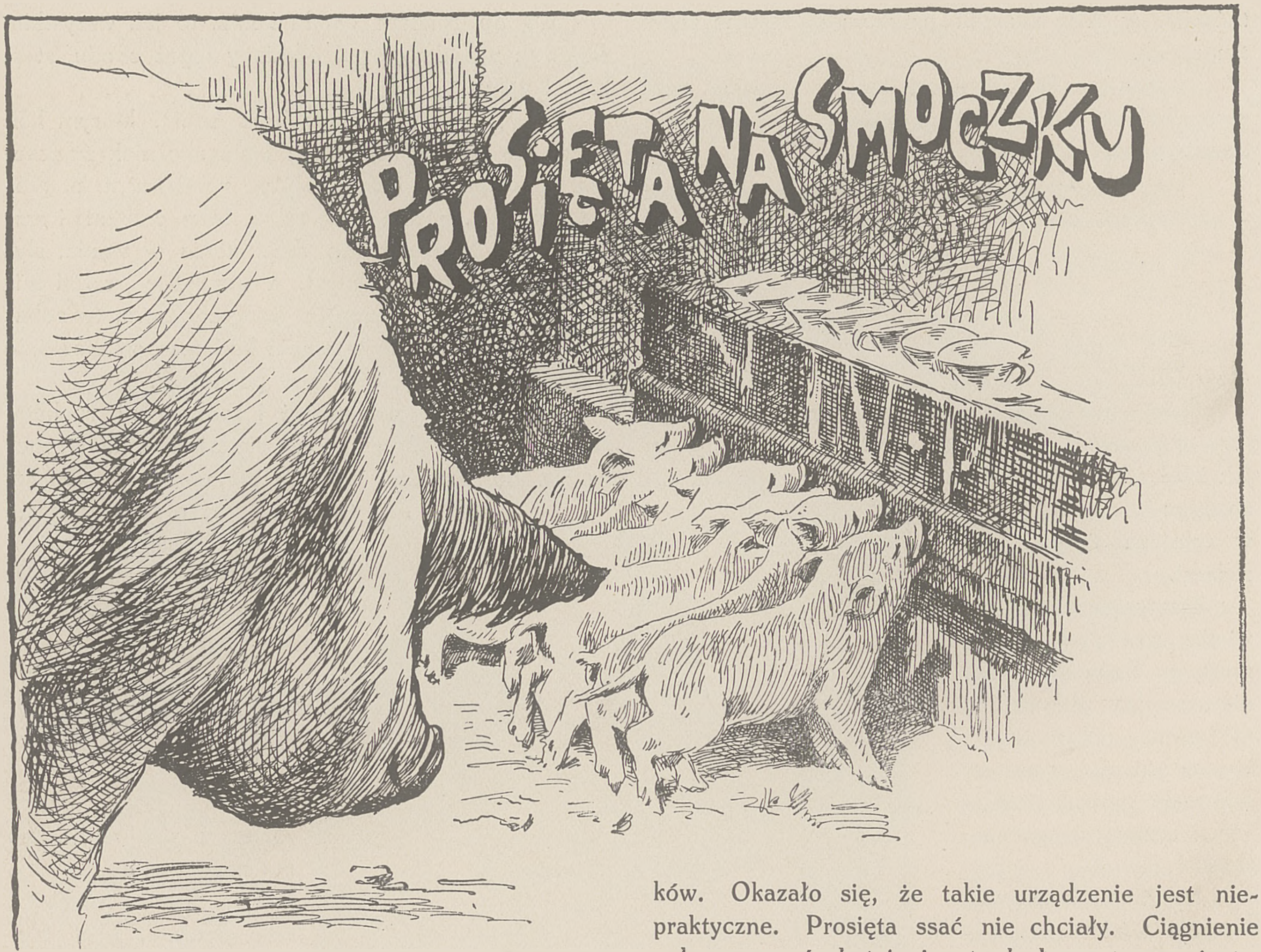
Co do rodzaju chodu konia, to jak wszystkim zapewne wiadomo, są 3 odmiany tegoż chodu, stęp, kłus i galop.

Stęp, jest to zwykły krok konia, którym koń może iść bardzo długo bez jakiegokolwiek zmęczenia, stawiając na ziemi nogi po przekątni n. p. prawą przednią, potem lewą tylną, lewą przednią i prawą tylną. Nadsłuchując chód konia w stępie, słyszymy 4 uderzenia kopyt, a gdybyśmy zrobili migawkowe zdjęcie aparatem fotograficznym, to zobaczymy, że właściwie w stępie koń ma równocześnie 3 kopyta na ziemi, a 4-te w powietrzu.

W ślad za powolnymi i spokojnymi ruchami konia w tym chodzie i osoba, siedząca w siodle, może się do pewnego stopnia nie poruszać, siedząc, jak to mówią, jak na fotelu. Jest to zatem najłagodniejsza i najmniej nużąca jazda, najmniejszy stopień ruchu.

Inaczej jednak ma się rzecz z szybkim chodem konia t. z. kłusem, albo trapem. Zależnie od szybkości tego chodu różne u nas nadawano mu nazwy. Kłus zebrany, krótki, zwano truchtem, albo dyrdem, kłus średni—podróżnym kłusem, a kłus najrączejszy, wyciągnięty—rysiem. W tym chodzie słyszymy 2 uderzenia kopyt, bo koń stawia równocześnie na ziemi 2 nogi z przekątni, n. p. lewą przednią i prawą tylną, podczas gdy prawa przednia i lewa tylna są tymczasem w powietzu. Aby to się stało, musi koń wykonywać ruchy podrzucające i dlatego łatwiej się w tym chodzie męczy, choć bez porównania mniej od jeźdźca, który doznaje w kłusie pewnego rodzaju wstrząśnienia, jest podrzucany w siodle.

Podrzucanie to wydaje się zwłaszcza bardzo gwałtowne w początkowej nauce jazdy konnej, tem więcej, że, nie umiejący jeszcze zachować równowagi, nie mający, mówiąc technicznie, wyrobionego siedzenia i nie umiejący iść za ruchem konia, ma wrażenie spadania z siodła na wszystkie strony i stara się ratować swą równowagę przeważaniem ciała i przechylaniem się na wszystkie boki.



Ciekawy sposób wybrnięcia z kłopotu gospodarskiego podaje francuskie „Vie à la campagne“. Pismo to pierwotnie ogłosiło artykuł pewnego anglika, wynalazcy przyrządu do sztucznego karmienia prosiąt w tych wypadkach, kiedy maciora sama karmić nie może. Przyrząd anglika w praktyce nie dawał jednak rezultatów zadawalających. Dopiero hiszpan, don José Amann, administrator towarzystwa Terrenos de Neguri w Bilbao, wynalazek anglika ulepszył i sprawę szczegółowo omawia w styczniowym numerze „Vie à la campagne“.

Może kwestja ta i dla naszych hodowców nie będzie obojętną, dla tego podajemy za pismem francuskiem, jak sobie w kłopotach gospodarskich radził pomysłowy hiszpan.

Istotnie, don José'go Amanna do tak gorącego zajęcia się zagadnieniem sztucznego odżywiania prosiąt zmusiła smutna konieczność. Oto jedna z jego najpiękniejszych macior, pełnej krwi Yorkshire'ka, po wydaniu na świat siedmiorga milutkich prosiątek, nagle straciła pokarm absolutnie. Zrozpaczony hodowca skonstruował tedy coprędzej przyrząd na wzór angielski, gdzie, jak podawało pismo, zbiornik na mleko umieszczony był poniżej smoczków. Okazało się, że takie urządzenie jest niepraktyczne. Prosięta ssać nie chciały. Ciągnienie pokarmu snać zbytnio je utrudzało — stworzenia te, widocznie mimo znanej swej żarłoczności, przy uczcie fatygować się nie lubią.

Hodowca gorliwy nie ustawał w próbach. Zbudował zatem aparat ze zbiornikiem, umieszczonym powyżej smoczków i istotnie aparat okazał się do celów tych doskonały.

Składa się on poprostu z trzech desek, przybitych jedna do drugiej pod kątem prostym. W jednej z nich przewiercono dziesięć otworów, przez które wysuwa się dziesięć smoczków gumowych. Od smoczków biegną w górę rurki kauczukowe, zakończone lejkami, w które wlewa się dla każdego prosięcia osobną rację mleka.

W dalszych ulepszeniach wynalazku, dążąc do uproszczenia, p. Amann zastąpił lejki jednym zbiornikiem cynowym, połączonym z rurkami. Rezerwuar taki, 1 m. 10 cm. długości, 10 cm. szerokości i głębokości, mieści w sobie ilość mleka wystarczającą, mianowicie 9 litrów.

W tym wypadku jednak, kiedy stosuje się zbiornik ogólny, trzeba zwracać baczną uwagę na to, ażeby przyrząd wisiał zupełnie poziomo, w przeciwnym bowiem razie płyn nie wlewałby się do wszystkich rurek równomiernie.

Prosięta trzymano na smoczku przez dni 24, poczem zaczęły jadać wprost z szaflika. Ważyły już wtedy od 5 do 6 kilogramów każde. Pierwotnie dostawały do ssania trzy razy dziennie po jednym litrze na siedem prosiąt, t. j. trzy litry dziennie. Stopniowo porcja wzrosła do 9 litrów.

Przy sposobności trzeba nadmienić, iż ażeby zachęcić prosięta do ssania, trzeba im mleko trochę osłodzić.

Zabawne podobno było zachowanie się matki wobec tego sztucznego karmienia jej dzieci. Chociaż sama nie mogła ich własnym pokarmem nasycić, widząc prosięta, ciągnące łakomie gumowe smoczki, irytowała się i czyniła maleństwom wszelkiego rodzaju „świństwa“, aż ją musiano odseparować.

Rozkopane cmentarzysko.

NOWELA.

Dwa lata temu, przejeżdżając przez ziemię Bracławską, odwiedziłem dalekich krewnych moich, Szydłowieckich. Bawiłem krótko—z jednej strony nagliły mię osobiste sprawy, z drugiej zaś, atmosfera w Łopatyńskim dworze gnała mię precz, byle dalej. Pamiętam siwego pana Marcina, nasłuchującego trwożliwie poszumów nocnych. Jesień była dżdżysta i słotna, wichry stepowe z równin czarnomorskich idące, jęczały przeraźliwie w kominach. W parku skrzypiały głucho podarte przez gołoledź jesiony a kołatka stróża nocnego, echem pośpiesznem, zmagała wichry bezsenne i stukała w czarne deski okiennic.

Chwilami skądś cisza się brała. Wichry gdzieś czaiły się w polach, by tem silniej, tem bezwzględniej wybuchnąć—a tymczasem, po minucie milczenia, odzywały się głosy dalekiej wsi. Psów szczekanie przeciągłe i monotonne, twarde szeregi uderzeń kijem o płoty cerkiewne. Raz— —dwa— — raz, dwa,, trzy! i znów to samo, bez końca.

Pamiętam z czasów dzieciństwa, jak mię bolały i męczyły te twarde, bezwzględne echa uderzeń wartowników cerkiewnych. Trapiła mię zawsze myśl, że ci ludzie pilnujący cerkwi, chodzą po grobach; te głosy, dochodzące mię przez rzekę i stare lipy ogrodu, przez klomby świerkowe i szyby okien zamkniętych—dziwne są jakieś, upiorne i puste. Że takiem samem głuchem łomotaniem oderzeń odzywać się muszą w twardych trumnach dębowych, zakopanych przy cerkwi, omal, że pod samym płotem. Może słup jaki, o który kijem wartownik uderza, dotyka samej trumny? Drżenie to więc — przenika świat umarły i żywy i świat podziemny, zasypany ciężarem żółtej, wilgotnej gliny — i nas, wolnych, żyjących? Mnie, małego podówczas chłopaka, śpiącego na pierwszem piętrze starego, białego dworu, w dużym, półciemnym pokoju, pełnym starych, trzaskających nocami mebli i sczerniałych, dziedzicznych obrazów, przywiezionych przez dziada, adjutanta Bema, z jakiegoś węgierskiego szpitala w Banacie.

W Łopatynie u Szydłowieckich, owej nocy jesiennej, — ożyły we mnie dawne echa dzieciństwa. Tak samo jęczały podarte przez gołoledź jesiony— tak samo, niespodzianie, łomotała pośpiesznie kołatka nocnego stróża. Tak samo, co godzinę, z wieczora, potem coraz rzadziej, trąbił z folwarku ekonom na myśliwskim rogu, tak samo, chórem, odpowiadali mu zaspani stróże gwizdaniem i kołataniem zawziętem. Tak samo wreszcie, bił o cerkiewne płoty kosturem swoim zundzony wartownik cerkiewny — człowiek, co raz na rok tylko, w wigilję miejscowego patrona — jest kimś, szanowanym i wielkim: myje bowiem nogi i miesi w kotle miód w plastrach z wódką, na sytę, lepką i mętną, ale za to tradycyjną i czczoną, jak Soma Rigwedy.

Oczy starego pana Marcina Szydłowieckiego utkwiły mi wówczas w pamięci. Rozwarte szeroko, patrzyły w pustkę, nie widząc i nie czując w niej nic, oprócz wyczekiwanych i grożących mu zjawisk, królestwo których nie jest z tego świata. Pan Marcin dawniej był inny — zupełnie inny. Uchodził nawet za heretyka—mówiono o nim, że nic świętego dlań niema, że wcielił się w nim duch jego rodu, krzewiącego ongi zasady jakobińskie w Polsce. Ojciec pana Marcina był podobno wysokim jakimś dygnitarzem Wielkiego Wschodu, a w Łopatyńskim dworze był jeszcze pokój, niczem się nie różniący od innych, ale nazywany lożą. W pokoju tym były brudne plamy na suficie, w których bujna fantazja młodego Krzysia Szydłowieckiego dopatrywała się zatartych insygniów masońskich. W każdym jednak razie, w młodości pana Marcina — w domu rodziców jego panowała atmosfera ówczesnego farmazoństwa, polegająca na wydziwianiu na mesjanistów i poetów, oraz chwytaniu w lot, budzących się, haseł francuskiego pozytywizmu.

Rozeszliśmy się tego wieczoru dość późno — pan Marcin rzucił parę razy jakieś niezrozumiałe słowo, po którem młodzi porozumiewali się spojrzeniem — a syn pana Marcina, Cezary, karcącym wzrokiem spoglądał na dzieci. W tem wszystkiem wyczułem niepokój ogólny: nie było tu zwykłego, rodzinnego nieporozumienia trzech pokoleń, z których, nawiasem mówiąc, najbardziej osamotnionem myślowo jest to dojrzałe, środkowe—dziadkowie bowiem łatwiej jakoś i ze zrozumieniem większem odnosić się umieją do wnuków, niżeli rodzice.

Trzy pokolenia Szydłowieckich miały wspólną jakąś, gryzącą troskę. Nasłuchiwanie odgłosów nocnych, co i mnie się udzieliło tej nocy, miało jakąś treść istotną i żywą, bolesną widać i męczącą bardzo, skoro młody Szydłowiecki, Krzysztof, nawet mówić ze mną nie chciał, kiedy spytałem o powód dziwnej atmosfery. Zbył mię jakimś ogólnikiem, a miałem wrażenie, że się trwożnie obejrzał, obawiając się tych samych napewno odgłosów, czy wrażeń, zzewnątrz idących, które wisiały, jak zmora, pod stropem sali jadalnej. Zauważyłem również, źle jakoś i niespokojnie śpiąc owej nocy, że światła we dworze nie gasły i cienkie smugi czerwone wdzierały się ze szczelin w gęstą, białą mgłę, która skądeś się wzięła i oblepiła dwór cały i pola i drzewa, splątaną i gęstą siecią nieskrysztalonej jeszcze, a dopiero szukającej gruntu, zimowej osiędzielizny.

* * *

Dziś — ludzie w Łopatynie byli zupełnie inni. Stary pan Marcin umarł—coś w pół roku po mojej bytności. Panny powyjeżdżały zagranicę, państwo Cezarowie zamieszkali w Krakowie, czy w Zakopanem — Krzyś się ożenił, przemeblował dwór, kupił samochód, dymem benzynowem i graniem syreny wydobył ton zupełnie nowy, zachodnią jakąś życiowością trącący i wyzwolił zupełnie dom z upiornych, bezładnych festonów znużenia, zwieszających się tu, jak śpiące niedoperze pod stropem opustoszałych budowli.

Witając się z Krzysiem, który w szoferskim kostjumie przybył po mnie na stację, zauważyłem odrazu, że jest inaczej i lepiej. Walizki i lokajczuka zwaliliśmy w tylne pudło limuzyny—ja zaś usiadłem przy Krzysiu, który pewną ręką ujął kierownicę i z widoczną przyjemnością nacisnął pedał karbonatora.

Dwór był odnowiony, jasny i miły. Pani Krzysztofowa, którą znałem panną, też była zupełnie inną, niżem się spodziewał ją zastać, w atmosferze martwego niegdyś Łopatyńskiego dworu. Zmiana, wyczuwana przezemnie, zdawała się wisieć w powietrzu; nie wiem dlaczego wyczułem, że nie jest ona w związku z odmianą warunków życiowych, a tylko w pozażyciowem i pozamaterjalnie ująć się dającem zdarzeniu początek swój bierze. Jednem słowem, zdało mi się, że dwór jest uwolniony od fatalnego jakiegoś, gnębiącego go urzeczenia.

Dobrze nam trojgu było i spokojnie—poddawałem się miłemu wrażeniu, starając się zapomnieć o ciężkich i przykrych godzinach, przeżytych pod tym samym dachem. Wieczorem, po kolacji, wyszliśmy do parku, korzystając ze srebrnej pełni, wysoko stojącej na niebie bez chmur.

Ogromne lipy Łopatyńskie, o pniach wydętych, jak banie, rzucały cienie szafirowe, ciemne. Głowy nasze, kontury których rysował na iskrzącym gazonie księżyc srebrzysty, zdawały się być otoczone jasną, promienną otęczą. Czarodziejka rosa czaiła się na każdej trawce przydrożnej — czasami chłodnem muśnięciem czepiała się stopy, która ją strąciła i przez ażur pończochy sięgała do ciała.

Jak budowle okrągłe, o dachach łamanych, stały grupy drzew. Rzadko gdzie wślizgiwał się do wnętrza słup skośnych księżycowych promieni. Jasne te i promienne smugi, z okien niewidzialnych, w stropie smugi z liści wykutych płynące, zdawały się jakimiś ogniskami, przy których się zwarło nocne, uśpione życie: wszechobecność dobrych, pomocnych duchów, łaskawie strzegących każdego kroku naszego, ciepłym oddechem rozchylających znużone kwiaty i trwożnie, a dobrotliwie pielęgnujących złote, letnie owoce.

— Jak tu inaczej teraz — przemówiłem mimowoli — i chciałem już zwrócić rozmowę na inny temat, kiedy Krzyś Szydłowiecki, bez cienia niechęci, a nawet z pewnym odcieniem zadowolenia, zwrócił się do mnie.

— Bez przymusu? doprawdy?

— Jaknajszczerzej.

Wchodziliśmy właśnie w gęsty zagajnik brzozowy, rozkrzewiony bujnie na skraju ogrodu, i będący właściwie przedmurzem leśnym, za którem rozciągała się szeroka Łopatyńska knieja, będąca chlubą Szydłowieckich i całej okolicy. Światło księżycowe było tu mniej skoncentrowane i jakby inne. Ślizgając się po białej korze młodych, trzydziestoletnich brzóz, nabierało pewnego ciężaru i omdlenia i prześwietlało cienie listowia, niedość gęste i zwarte, by stworzyć smugi półmroku. Dziwne było to światło—podnosiło się jakby z bujnej, pachnącej trawy i skracało nadmiernie oddalenie drugiego planu.

Szydłowieccy skręcili w boczną, leśną dróżynę, prowadzącą do alei wjazdowej. Szliśmy po rosie, wilgoć której orzeźwiała nam stopy i świeżością swoją dawała pełne wrażenie pogodnej, letniej, takiej srebrnej i spokojnej nocy.

— Dziad Marcin, — mówił Szydłowiecki, na schyłku dni uparł się przeprowadzić pewne zmiany, które, jak powiadał, odkładał z dnia na dzień. Myśmy z ojcem byli temu przeciwni, zwłaszcza, że reformy dziadunia wymagały kosztów jednorazowych, a przynosiły tak nieznaczne plusy, że raczej ciężarem nam były, niż potrzebą istotną. Ale mniejsza o to.

— Pamiętasz dawną drogę do dworu? Objeżdżało się pod las — teraz wiozłem cię prosto, jak strzelił. Bóg wie czemu jeżdżono dawniej takim łukiem wyraźnym. Pustki przecież wokoło, nieużytki. Cmentarzysko pradawne, pole bitwy, czy co. Ten kamień na lewo, zauważyłeś może, wkopany ręką ludzką. Stoi pionowo, taka podolska parodja menhiru.

Dziadunio słuchać nas nie chciał. Przekopać drogę przez to cmentarzysko i koniec. Uparł się i zrobił swoje.

Chodziliśmy z ojcem i siostrami oglądać robotę. Zgrzytały kości. Żeleźce jakieś pordzewiałe wyzierały z gliny. Piszczele ludzkie, końskie. Do jednej kazaliśmy to pozrzucać jamy, z ziemią zrównać, by śladu nie zostało.

Droga już była na ukończeniu — gdy w kurhanie głównym na kształt jakiś natrafiono drewniany. Trumna dębowa, czarna, wilgocią nienaruszona od wieków — cieniem milczącym wyjrzała z pod gliny, i ostrą twardością konturu jęła szeptać o sobie. A że nieprzeszkadzała nikomu, została tak przeto na zawsze w owem zboczu przekopu glinianem i warstwą kurzu szarego zarosłem.

Aż nagle wieści skądś przypełzły dziwne. Mówiono, że z kurhanu tego rycerz się jakiś dobywa srebrzysty, w zbroi dzwoniącej, na białym koniu. Że ostrym kopyt tententem napełnia stepy i gaje.

Nie wierzył nikt, krom starego gumiennego, Jakóba. Pusto się dziwnie jakoś zrobiło w tym naszym gwarnym Łopatynie — nikt o trumnie przydrożnej nie mówił.

Wieści płynęły wciąż.

Aż nocy pewnej przyjechać miały panie Horsztyńskie — nasze dalekie krewne. Słyszałeś może — mieszkały przez lat kilkadziesiąt na Syberji — Hela urodziła się nawet gdzieś w Krasnojarsku. Nic wiedzieć, ani słyszeć nie mogły — a jednak...

— Dziwnego macie furmana — mówiła któraś z nich. — Ktoś nas gonił na białym koniu po nocy, nie zaczepił i przemknął, jak wicher. A ten konie zacinał, co sił, jakby wyścigi urządzał z tym jeźdźcem.

— Wy wiecie? — zapytał ojciec.

— Co? Nic nie wiemy.

— To rycerz ze starego cmentarza przy drodze...

— Jaki rycerz?

— Ten, z trumny odgrzebanej.

Życie nad naszym domem spokojnym zwiesiło jakieś dręczące, upiorne skrzydła — powiadam ci. — Tentent konia białego pod samemi przelatał oknami — to znów obcy podróżni o gościnę prosili strwożeni. I nigdy, nic. Krzywdy żadnej. Jakby w oczy chciał spojrzeć — nic więcej.

Nie pomogły żałobne modlitwy, msze zakupione w Częstochowie i w Wilnie, woda święcona aż z Lourdes. Dziadek nasz gryzł się, chorzał coraz cięźej, coraz beznadziejniej. Pamiętasz jego strachem płonące oczy? Aż zachorował śmiertelnie.

Umierając, pogrzebać się kazał nie w grobach rodzinnych, a pod progiem cmentarnym. Iżby każdy umarły — w ciszę śmiertelną przechodząc — trumną o wieko trumny jego, jak o próg zaświata, uderzył. I żeby każdy żyjący podeptał go stopą — jego, który spokoju dawno pomarłych uszanować nie umiał.

Chodzi tu, uważasz — mówił dalej Szydłowiecki — o rzeczy bardzo proste. Ów rycerz był swojej ciszy śmiertelnej wydarty. Nie miał owej obojętności dla świata, o której mówi w testamencie Słowacki. Musiał więc istnieć czas jakiś, naturalnie, w sferze prochów swoich. Idea czyśćcowa, rozumiesz? Oczy chłonące szatana — skoro zbrakło powłoki poświęcanej ziemi — przedarły się przez deski dębowe ku niemu. Włóczyć jęły po ziemi, w poszukiwaniu dróg: samotności bezwzględnej, bądź podpory czyjejś. I w poświęceniu naszego dziada, nieświadomego zrazu winowajcy, rycerz ów znalazł kamień węgielny swego odrodzenia. Ja to tak rozumiem. Możesz się uśmiechnąć nawet — dodał Krzyś pobłażliwie — ale ja mam swoje zdanie. Wolno było fantazjować Mickiewiczowi w „Dziadach". Ja swoje mówię skromnie, na mniejszą skalę — nie bez pewnych podstaw. *Et voilà tout* — uśmiechnął się, pogodnie jakoś, wesoło prawie.

Podchodziliśmy właśnie do tej fatalnej dla pana Marcina alei. Spokojnie tu było i cicho. Trzy nasze cienie szły przed nami, szafirowe, miękkie. Aureole świetliste otaczały nam głowy. Księżyc srebrny, wspaniały, wytoczył się w ciemne, głębokie przestworza, iskrzące złotem ziarnem konstelacji niebieskich. Czarodziejka rosa czaiła się na każdej trawce przydrożnej. Biło źródłem żywem, ciche, wszechobecne życie: bliskość duchów dobrych łaskawie kroku każdego strzegących, ciepłym oddechem rozchylających kwiaty znużone, i trwożnie a dobrotliwie pamiętnych na dojrzałość złotego, jędrnego owocu.

Edward Ligocki.

Z KRONIKI SPORTOWEJ.

Z TORÓW ZAGRANICZNYCH.

Jak wiadomo, sufrażystki angielskie w walce o zdobycie praw dla kobiet, chwyciły się broni barbarzyńskiej, która polega na niszczeniu dzieł sztuki oraz urządzeń publicznych. W tych dniach na torze wyścigowym w Kempton parku, spłonęła jedna z trybun; pożar na placu wyścigowym, zamkniętym w tej porze roku, przedstawia się bardzo zagadkowo. Ogół przypisuje go występnym dłoniom sufrażystek.

Ubiegłej jesieni na torach angielskich konie: „Bloodstone“ i „Jacobus“, wykazywały „formę tak zmienną i uczestnicząc w gonitwach miały szczęście tak bardzo zmienne, że stewardzi trenera ich, Coultwaite'a zdyskwalifikowali na całe życie. Trener Coultwaite zapewnia o swej uczciwości, i chcąc się zrehabilitować wystąpił przeciw stewardom na drogę sądową. Oczywiście ten krok nie będzie miał znaczenia praktycznego, ponieważ wyrok stewardów nie ulega apelacji; niemniej jednak angielskie sfery sportowe żywo zajmują się osobą zdyskwalifikowanego trenera. Karjera tego człowieka jest istotnie bardzo oryginalną: w wieku chłopięcym był on chłopcem u rzeźnika, następnie pisarzem, potem kolporterem książek, wreszcie zdobywszy większą sumę pieniędzy założył skład wiktuałów spożywczych. W r. 1899 nabył konia wyścigowego, którym wygrał sporo nagród i pod koniec tegoż roku otworzył publiczny zakład trenerski. Posiadał on własną metodę trenowania, która widocznie była dobrą, skoro konie Coultwaite'a biegały na torach z wielkiem powodzeniem. Pomiędzy innemi gonitwami wygrał on dwukrotnie wielki Steeple-Chase w Liverpoolu, „Eremon'em“ „i Jenkinstown'em“. Ale od dłuższego czasu uwaga sfer sportowych była zwrócona na działalność Coultwaite'a z powodu jaskrawej zmienności formy wykazywanej przez jego konie. Karjerę „pomysłowego“ trenera można uważać za skończoną.

WIDOKI NA DERBY ANGIELSKIE.

Angielskie koła sportowe już mają na tegoroczne „Derby“ w Epsyom, „gorącego“ faworyta. Jest nim „Craganour“ który jako dwuletni wykazał tak bezwzględną wyższość nad rówieśnikami, że może być uważany, jako najlepszy tegoroczny trzylatek angielski. Czy nadzieja nie zawiedzie?... Ot naprzykład w r. 1911, „White Start“ i „Absurd“, zwycięzkie w „Middle park plate“ i „Dewhurst plate“, były uważane za pierwszych kandydatów do zdobycia w r. 1912, „2000 gwinei“, „Derby“ i „St. Leger“,—stało się jednak wbrew przewidywaniom fachowców. „White staar“ w r. z. wygrała zaledwie jedną małą nagrodę, „Absurd“ — żadnej. „2000 gwinei“, zdobył „Sweeper II“, — Derby — „Tagalie“ a St. Leger — „Tracery“. który jako dwuletni wcale nie wyszedł w szranki.

Na razie jednak „Craganour“ ma wszelkie prawo do tytułu konia „wielkiej klasy“. Urodzony w stadzie sir Tatton'a Sykes'a, jako syn „Desmonda“ i kl. „Veneration“, był kupiony roczniakiem za 3.200 gwinei przez mr. C. Bower Ismay'a. Startował pierwszy raz w r. z. „New Stakes“ (Ascot); faworytem był wówczas „Shogun“, który już posiadał w swoich aktywach trzy pierwsze nagrody; tym razem jednak musiał uledz „Craganour'owi, ale trzeba zaznaczyć, że oddawał mu dziesięć funtów. „Exeter Stakes“, wygrał „Craganour“ galopem spacerowym i dopiero w trzecim wyścigu przegrał o łeb do „Rock Flint'a“ ale z winy swojego żokieja. Wysoką swoją wartość wykazał „Craganour“ w „Prince of Wales Plate“ w Yorku gdy pomimo, że niósł wagę najwyższą, zwyciężył z całą łatwością stawkę koni bardzo dobrych. W „Champagne Stakes“, „Craganour“ spotkał się powtórnie z „Shogunem“, tym razem pod równą wagą. Pierwszy z nich wygrał swobodnie o trzy długości. Ostatni raz wystąpił „Craganour“ w „Middle park plate“, największej gonitwie przeznaczonej dla koni dwuletnich i zwyciężył z wielką swobodą, mając za sobą „Shogun'a“ i okazałą stawkę współzawodników pierwszorzędnych; w ich liczbie były: „Louvois“ i „Rock Flint“ cenione wysoko. „Carganour“ więc musi być uważany jako najlepćzy dwulatek angielski, ale rzecz inna czy będzie najlepszym trzylatkiem... Dotychczas potomstwo Desmonda nie wyróżniało się wytrzymałością; zawodziły jako dwuletnie, w starszym zaś wieku zyskiwały, albo odwrotnie.

Obok „Canganoura“ najpoważniejszemi kandydatami na zdobywców w r. b. wstęgi błękitnej w Anglii są: „Shogun“ i „Louvois“.

SPORT SAMOCHODOWY.

Był czas, że wzrastająca szybkość samochodów budziła na szerokim świecie wielki entuzjazm; dziś już spowszedniały rekordy pośpiechu samochodowego, ale pomimo to zdarzają się jeszcze tak szalone jazdy, że wieść o nich elektryzuje sportsmanów. Ot naprzykład na torze w Brookland (Anglja) pilot angielski Lambert, zrobił w ciągu godziny 160 kilometrów!

Interesującą jest historja rekordów godzinnych. W r. 1891 we Francji, która jest pionierką także sportu samochodowego, odbyła się tylko jedna próba na przestrzeni Paryż—Rouen. Zwycięstwo odnieśli Panhard i Peugeot na maszynie benzynowej. Wówczas na przestrzeni Paryż—Mantes, szybkość najwyższą wykazał p. Boulard na maszynie Dion-Bouton, zrobiwszy 25 kilometrów w ciągu 60 minut! Nie śmiejcie się! Tego roku w katalogu Panharda i Levassora wydrukowano taką wiadomość: „Nasze pojazdy mają również czwartą szybkość, która dosięga 24 klm. na godzinę. Ale osobom technicznie niewyrobionym, używania tych maszyn nie zalecamy“.

W r. 1895 na przestrzeni Paryż — Bordeaux tryumfują motory eksplozyjne. Wóz Chasseloup-Laubat'a robi 28 klm. na godzinę. Ale już w r. 1896 ukazuje się maszyna Leona Boillée („voiturette“) i utrzymuje rekord godzinny w ciągu trzech lat. Ma ona przy jednym cylindrze poziomym siłę sześciu koni; od r. 1897 posiada dwa cylindry. Ten trzykołowiec (dwa koła z przodu, trzecie zaś małe z tyłu) staje się królem szybkości. W roku 1896, podczas wyścigu: Paryż — Marsylja — Paryż, Leon Boillée osiągnął około 36 klm. na godzinę. W r. 1898, ten sam Boillée, na drodze z Etampes do Chartres i z powrotem, zrobił sto kilometrów w ciągu dwóch godzin, zsiadłszy zaś z maszyny oświadczył, że jest to szybkość największa jaką można otrzymać...

Wreszcie Peugeot na słynnej maszynie Lemaitre'a w wyścigu Pau — Bajonna — Pau, przebywa na godzinę 54 klm. Ale jest to śpiew łabędzi dwóch cylindrów poziomych. Rozpoczynają panowanie cztery cylindry prostopadłe o sile 10 i 16 koni, Panharda i Lavassora i zdobywają rekord sensacyjny: 60 klm. na godzinę.

W r. 1900 na samochodzie tego systemu R. de Knyff dosięgnął 66 klm. Ale już w roku następnym w wyścigu Paryż — Tuluza, maszyna Mors'a o sile 24 koni robi średnio 72 klm. na godzinę.

Fournier na Mors'ie, w wyścigu Paryż — Bordeaux, mknie z szybkością 85 klm. Ta sama maszyna zwycięża w wyścigu Paryż — Berlin, robiąc 95 klm. na godzinę.

W r. 1902 w wyścigu Paryż — Wiedeń osiągają: R. de Knyff 90, a Piotr de Crauhez 95 klm. na maszynie Panhard'a.

Odtąd postęp szybkości staje się powolniejszy. Od r. 1906 waha się ona pomiędzy 110 i 120 klm. Rekord utrzymuje Bruce Brown (154 klm. w 1 godz. 16 m. 19 s., przeciw 1 g. 16 m. 32 s. — Boillot'a) czyli 121 klm. na godzinę.

Jest to koniec rekordów szosowych; zaczynają się torowe w Brockland. Edge w r. 1908 osięgnął 112 klm. na godzinę, Thomas 145, Hemery 156.

Rekord ma obecnie Percy Lambert, który jak wyżej powiedziano, przebył 165 klm. w ciągu godziny na maszynie o sile 25 koni.

STRZELNICTWO.

W r. b. stanęło do współzawodnictwa o „Grand Prix du Casino", w Monte Carlo, 179 strzelców, aby w pierwszej „rundzie" zabić po cztery gołębie; dwa błędy pozbawiają strzelca prawa uczestnictwa w dalszych zapasach. Szczęście nie sprzyjało 64 współzawodnikom. Siedemdziesięciu zabiło po trzy, a tylko czterdziestu pięciu po cztery gołębie. Następnego dnia w drugiej, trzeciej i czwartej „rundzie" strzelano znakomicie, w piątej zrobiono 33, w szóstej 25, w siódmej 18 i w ósmej 15 błędów.

Pozostało jeszcze 55 strzelców, z których 43 zabiło po siedem ptaków na 8, dwunastu zaś wystrzeliło serję ośmiu.

Właśnie ten tuzin współzawodników stanął dnia następnego do rozgrywki ostatecznej. Wszyscy wystrzelali serję dziewięciu gołębi, ale przy serji dziesięciu, już tylko sześciu strzelców pozostało w szrankach.

W następnej kolei, jedenaście ptaków zabił hr. Czernin przedstawiciel Austrji i zdobywca tej nagrody w r. 1908, francuzi: Nemo i hr. Lareinty-Tholosan, anglik Jerzy Harrison i rosjanin Kuźniecow.

Rozpoczęła się serja dwunastu gołębi; zagrzmiały oklaski gdy pięciu strzelców strąciło po 12 gołębi.

Moment kulminacyjny: na „standzie" ukazuje się Nemo i chybia, Harrison także jednego ptaka puszcza żywcem.

Pozostaje w walce tylko trzech strzelców: hr. Czernin chybia; hr. Tholosan i Kuźniecow zabijają po 14 gołębi.

Ci dwaj sportsmani stają do walki ostatecznej. Pierwszy strzela Kuźniecow i chybia ósmego ptaka, natomiast Tholosan zabija szesnaście i zdobywa pierwszą nagrodę, która wyniosła 20.000 fr. i przedmiot cenny. Drugi Kuźniecow 15.305 fr. trzeci — hr. Czernin 12.755 fr. — Nemo i Harrison podzielili się 18.305 fr. Morro i Roch otrzymali po 5.305 fr., wreszcie C. Tuck, jako ósmy 2.550 fr.

W r. 1872, kiedy pierwszy raz była rozgrywana ta wielka nagroda, zwycięstwo odniósł amerykanin, — przez siedem lat następnych zwyciężali anglicy.

W stosunku do narodowości, zwycięstwa w ciągu lat 43 podzieliły się jak następuje: Anglicy i Włosi po 14, Francuzi 6, Austrjacy, Węgrzy i Belgijczycy po 2,—Hiszpanie i Amerykanie po 1 zwycięstwie.

LOTNICTWO.

Niebezpieczna przygoda zdarzyła się lotnikowi Kostinowi pełniącemu służbę po stronie bułgarskiej. Kostin wielokrotnie dokonywał udanych wzlotów nad Adrjanopolem, ale przed kilkunastu dniami, zapewne wskutek zepsucia się motoru, był zmuszony wylądować w środku... fortecy tak zaciekle przez turków bronionej. Zdarzenie to wywołało zrozumiałą sensację i skłoniło rosyjskie ministerjum spraw zagranicznych do interwencji. Gdyby Kostina zakwalifikowano w Adrjanopdlu, jako szpiega, to oczywiście poniósłby on karę śmierci, chodziło więc o to, aby dowódca twierdzy uważał go tylko za jeńca wojennego. Życzeniu temu stało się zadość i Kostinowi egzekucja już nie zagraża. Jest to jeden z najwybitniejszych lotników rosyjskich, członek petersburskiego klubu lotniczego.

Lotnik grecki Montoussis ugodził bombą turecką łódź torpedową, wskutek czego statek zatonął.

Nadzwyczajną podróż napowietrzną odbył d. 26 z. m. lotnik Brindejonc-des-Moulinais, z Paryża do Londynu o g. 9 m. 15 zrana dosiadł swojej maszyny na lotnisku Villacoublay, wylądował zaś w Calais o g. 10 m. 50, przebiegłszy 240 kilometrów. Ztamtąd wyruszył o g. 11 m. 50, a ponieważ celu podróży, którym był Hendon, nie widział wskutek mgły, przeto wylądował o g. 1 m. 30 w Finchley; po krótkim postoju powędrował dalej i opadł w Hendon o g. 1 m. 55, — przestrzeń Calais—Hendon wynosi 160 klm. cała zaś droga z Paryża do Hendon 400 klm., którą przebył mężny lotnik w 4 godziny 45 m. włącznie z postojem, szybował zaś 3 godz. 45 m. Jest to szybkość zdumiewająca.

PŁYWACTWO.

Nowy rekord „damski" ustanowiła w Sydney (Australja) Fanny Durack, rodowita australijka. Dzielna sportsmenka przepłynęła i to z wielką brawurą 400 jardów w 4 m. 12 s.

W Melbourne (Australja) stoczono niedawno walkę o mistrzowstwo światowe w sztuce pływania. Zapasy te wzbudziły tem większe zainteresowanie, że uczestniczył w nich W. Longworth słynny ze swoich zwycięstw w „Olimpii" londyńskiej. Ale tym razem musiał zadowolnić się miejscem trzeciem. Tytuł „mistrza wszechświatowego" zdobył A. Wickham, drugi, przypłynął Pearry.

KRONIKA OGÓLNA.

WYSTAWA

CERAMIKI, SZKŁA i BRONZÓW POLSKICH.

Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości, zachęcone powodzeniem i uznaniem, z jakiemi przyjęte zostały dwie poprzednie wystawy (Starej Warszawy i Mintatur) i, mając na celu szerzenie wśród najszerszego ogółu znajomości i zamiłowania zabytków sztuki — przystępuje z kolei do zorganizowania w m. marcu r. b. „Wystawy ceramiki, szkła i bronzów polskich".

Po naszych pałacach, dworach i siedzibach wiejskich często jeszcze spotkać się można z okazami porcelany z dawnych fabryk polskich obok pięknych nieraz wyrobów ze szkła lub bronzu. Towarzystwo pragnęłoby na projektowanej wystawie zgromadzić możliwie największą ilość przedmiotów, jakie ocalały przed niszczącym zębem czasu, coby rzuciło wreszcie nieco światła na tę dotychczas ciemną dziedzinę naszego przemysłu artystycznego i w przyszłości umożliwiło naukowe jej opracowanie. Ze względu na doniosłość podobnych wystaw komitet organizacyjny zwraca się do kolecjonerów i wszystkich szczęśliwych posiadaczy powyższych przedmiotów z prośbą o jaknajliczniejsze nadsyłanie eksponatów na czas trwania wystawy. Nawet pojedyńcze egzemplarze są pożądane.

Pod nazwą ceramiki rozumieć należy wszelkiego rodzaju przedmioty z gliny palonej, a więc wyroby porcelanowe, fajansowe i terrakotowe, jako to: serwisy, wazony,

kafle, płytki ornamentacyjne, figurki, dawne naczynia aptekarskie i t. p., których pochodzenie polskie jest stwierdzone (przedewszystkiem z markami). Ze względu na skompletowanie polskich marek ceramicznych, posiadają dla tego działu wartość nawet wyroby, nie odznaczające się wybitnemi cechami artystycznemi.

W skład szkieł dawnych, w Polsce wykonywanych, wejdą: żyrandole, zwierciadła, puhary, szklanice, butle, kieliszki i t. d.

Dział trzeci, wreszcie, stanowić będzie nieznane dotychczas bronzownictwo polskie oraz wszelkie wyroby z mosiądzu, miedzi lub cyny, wchodzące w zakres przemysłu artystycznego, jak świeczniki, t. zw. szabaśniki, statuetki, pająki, repusowane blachy-reflektory, konwie, lawatarze, miednice, klamki, kołatki, dzwonki.

Prócz naszej rodzimej produkcji przyjmowane będą i przedmioty pochodzenia obcego, ale mające łączność z kulturą lub przeszłością polską.

Jako krańcową datę eksponatów, które wejdą w skład wystawy, przyjęto rok 1830,—z późniejszych uwzględnione będą tylko fabryki już nieistniejące.

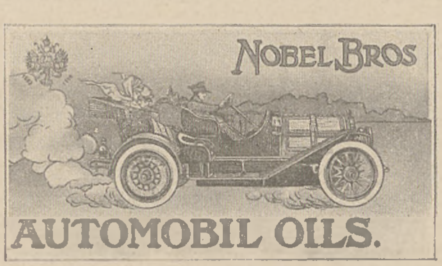
Skład komitetu organizacyjnego stanowią: Prezes Tow. hr. Edward Krasiński, wiceprezes hr. Rajnold Przeździecki, sekretarze wystawy: Kazimierz Broniewski i dr. Zygm. Rokowski; panie mgr. Eliza Wielopolska, Stanisławowa Cichanowska, Zuzanna Rabska, Zofja Stefańska; pp. Wojciech Kolasiński, Laskowski, dr. Alf. Lauterbach, mec. Powichrowski, Miecz. Rulikowski, Stanisław Ursyn-Rusiecki, Gustaw-Soubis-Bisier, Ant. Strzałecki, Konstanty Tarasowicz, dr. Wład. Tatarkiewicz, mec. Wydźga.

Deklaraeje i eksponaty uprasza się nadsyłać pod adresem kancelarji Towarzystwa Opieki nad zabytkami przeszłości Warszawa, Stare Miasto № 32.

DOŚWIADCZENIE WIOSENNE.

Wydział doświadczalno-naukowy C. T. R. przeprowadzać będzie po gospodarstwach folwarcznych doświadczenia nawozowe nad działaniem i opłacalnością nawozów sztucznych pod zboża jare, okopowe, łąki, pastwiska i koniczynę, doświadczenia z odmianami ziemniaków w 2 serjach: odmian fabrycznych i jadalnych. Pragnący wziąć udział w doświadczeniach nawozowych, powinni się zwracać do 20 marca do Wydziału dośw.-nauk.

Sekcja nasienna C. T. R. zakładać będzie doświadczenia zbiorowe z jaremi odmianami owsów i jęczmion odmian nowych, oryginalnych, przysłanych ze Svalöf. Zgłoszenia można nadsyłać do zarządu Sekcji nasiennej najpóźniej do 15-go marca r. b.



Zapowiedź niezwykle wspaniałego wydawnictwa!

Nakładem księgarni paryskiej J. Leroy & C-o ukaże się w najbliższym czasie, księga-album, dotycząca przeszłości narodu polskiego.

Na całość tego dzieła pod tytułem

L'Armée du Duché de Varsovie

składają się: znany w wszechświatowych kołach wojskowych pisarz francuzki jenerał A. Malibran oraz znakomity malarz-batalista polski Jan Chełmiński.

To skojarzenie pióra francuzkiego z pędzlem polskim nadaje wydawnictwu wyjątkową wartość i znaczenie, będzie też znakomitem uzupełnieniem pełnych chwały czynów wojska polskiego podczas epopei Napoleońskiej.

Księga-album pp. Malibran, Chełmiński obejmie 350 stronic tekstu, 48 plansz kolorowych i 150 portretów wykonanych w głośnym zakładzie Husnika w Pradze Czeskiej.

Papier i wykonanie typograficzne niebywale wytworne.

Liczba samych portretów obejmuje następujące sławne w dziejach postacie: Napoleon I i Frydeyk August, ks. Józef Poniatowski, W. hr. Krasiński, hr. Tyszkiewicz, St. hr. Potocki, ks. Radziwiłł, W. hr. Potocki, Sokolnicki, Fiszer, ks. Czartorysk, Grabowski, Dąbrowski, Woyczyński, hr. Małachowski, Kajetan Stuart, Wielhorski, Żółtowski, Klicki, Chłopicki, Hauke, Amilkar Kosiński, Zajączek, Chłapowski, Dwernicki, Załuski, Ledóchowski, Pelletier, Kamiński, Redel, Sołtyk, Kniaziewicz, St. hr. Zamoyski, Paweł Jerzmanowski, Ambroży Skarzyński, Józef Szymanowski, Łączyński, Weyssenhoff, Pac, hr. Czacki i ks. Gedroyć.

Dzieło „L'Armée du Duché de Varsovie" ukaże się w trzech wydaniach: Wydanie luksusowe, tylko w 25-ciu egzemplarzach — cena rubli 200. Wydanie salonowe — cena rubli 80. Wydanie wytworne, zwyczajne — cena rubli 40.

Pierwsza edycya jest już na wyczerpaniu, dwie drugie wyjdą również w ograniczonej liczbie egzemplarzy, z zamówieniami zatem należy się pośpieszyć do 1-go kwietnia r. b., poczem cena zostanie znacznie podwyższona.

Wyłączną sprzedaż na Królestwo Polskie, Cesarstwo, Galicję i W. Ks. Poznańskie objęła księgarnia

Konstantego Trepte

Warszawa, ul. Erywańska Nr 16.

Na polowanie

na wycieczki lub w drogę każdy powinien zaopatrzyć się w tabliczkę

Czekolady Wedla

Specjalnie polecamy następujące gatunki:

Deserową (mało cukrzoną)
Zakopiańską (na mleku)
Pomarańczową (orzeźwiającą, nie budzącą pragnienia)
Neugatine (z migdałami)
Kawową i orzechową.

Wszystkie powyższe wyroby powszechnie znanej fabryki czekolady

E. WEDEL w WARSZAWIE.

Fabryka i Kantor przy ul. Szpitalnej, (dom własny)

Stale znajdują się na składzie we wszystkich handlach kolonialnych i stowarz. spożywczych.

Hemogen Magistra Klawe

Najracjonalniejszy przetwór żelaza dla słaborozwiniętych, małokrwistych, osłabionych i rekonwalescentów.

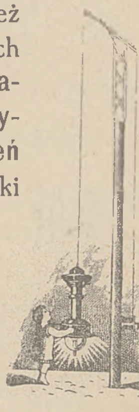
DZIECKO

może zapalać i gasić lampę naftowo-żarową

„REFORM"

bez pompowania powietrza o sile 1000 świec.

Zużycie nafty tylko $^1/_2$ funta na godzinę.



Lampy powyższe, jak również lampy naftowo-żarowe innych systemów, różnego rodzaju latarnie i latarki i wszelkie przybory i urządzenia oświetleń najtaniej, bo z pierwszej ręki poleca główny skład

„PROMIEŃ"

Inż. ZYGMUNT KORYCKI

Warszawa, Trębacka 2, tel. 13-65

Cenniki na żądanie bezpłatnie

MAGAZYN BŁAWATNY
I SKŁAD PŁÓTNA

FELIKSA SKRODZKIEGO i S-ki

BRACKA 16, TELEFON 222-42

OTRZYMALI:

NOWOŚCI

NA SEZON WIOSENNY I LETNI.

TOWARZYSTWO ŁOWICKIE
PRZETWORÓW CHEMICZNYCH I NAWOZÓW SZTUCZNYCH

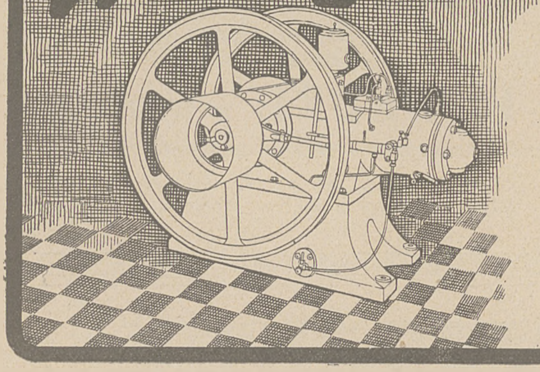
Zarząd i Biuro Sprzedaży: Warszawa, ul. Włodzimierska 3.
Zakłady: Łowicz, st. dr. żel. W.-W. i Kaliskiej.

POLECA: **Superfosfaty** wszelkiej procentowości, **Żużle Thomasa, Kainit, Sole Potasowe, Saletrę chilijską,** oraz inne nawozy sztuczne. Kwas siarczany, Kwas solny, Kwas azotowy, Siarczan miedzi, Siarczan żelaza, Tlenek kobaltu, Chlorek barytu, Chlorek cynku, Siarczek wodny wapnia i inne chemikalja.

Wystawa Powszechna 1900 r. w Paryżu: medal złoty, 2 medale srebrne. Na wystawach kraj. najwyższe odznaczenia.

MOTORY „URSUS” — WARSZAWA.

ZŁOTE MEDALE na ostatnich wystawach: w Częstochowie, Odessie, Carsk. Siole, we Lwowie i w. in.



Silniki 2 i 4-taktowe: ropowe, naftowe, spirytusowe — prostota budowy, obsługa zbyteczna, bezwonny wydmuch, ekonomiczność działania. **Lokomobile** rolnicze—uznane są za najpraktyczniejsze dla gospodarstw wiejskich. **Silniki** do gazu miejskiego. **Urządzenia** silnikowe o gazie ssanym z antracytu: najtańsze źródło energii mechanicznej. **Przeszło 3,000 silników—w ruchu.**

T-wo Udziałowe Specyalnej Fabryki Armatur i Motorów „URSUS”
Warszawa, Sienna № 15
Adres telegraficzny: „URSUS“—Warszawa.

MAGAZYN BŁAWATNY
EDMUNDA MAKOWSKIEGO
ul. Mazowiecka Nr 20 (róg Berga).

Najnowsze materjały na sezon wiosenny i letni.

Specjalny oddział tanich wełn.

PRÓBY NA PROWINCJĘ GRATIS I FRANCO.

PENSJONAT „UKRAINA”

JANINY Z ZAKRZEWSKICH MARKOWSKIEJ i JADWIGI Z KOSSAKÓW UNRUG, urządzony z komfortem: salony-czytelnia, łazienka, elektryczność, telefony, winda. Kuchnia wykwintna. Obiady od 2—4 dla stałych i przychodzących.
WARSZAWA, ALEJE JEROZOLIMSKIE № 37. TELEFON № 110-20.

MAGASIN FRANÇAIS
G. BARGOIN

NOWY-ŚWIAT 45

Poleca duży wybór Paryskiej Biżuterji.

NOWY-ŚWIAT 45

50% OSZCZĘDNOŚCI OPAŁU

patent. MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA
do pieców pokojowych

Piece żelazne multiplikatorowe, patent. Szybkonagrzewacze wody do kąpieli, patent. Drzwiczki piecowe hermetyczne nierozpalające się.

Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż., Warszawa, Al. Jerozolimska 71, tel. 15-02.

Wystrzegać się naśladownictw.

ZAKŁADY GRAFICZNE
A. HURKIEWICZ i SP.
w WARSZAWIE

MARJENSZTADT 16
TELEFON 242-93.

ZAKŁADY GRAFICZNE

A. HURKIEWICZ i S^KA

SPECJALNOŚĆ:

Druk ilustracji trój- i czterobarwnych. Wykwintne katalogi, prospekty, okładki, wydawnictwa obrazkowe, pocztówki i t. p.

KLISZE na cynku i miedzi grubo niklowane do druku jedno-, i wielobarwnego.

Kantor czynny od 8-ej rano do 12-ej i od 2-ej do 7-ej wieczorem

PRÓBY I KOSZTORYSY NA ŻĄDANIE GRATIS I FRANCO.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. J. K. w Kap. Załatwione. Komplet wysłany.

Hr. Adamowi L. Dziękujemy za informacje.

P. L. K. Nieoczekiwanie możemy służyć informacją najwygodniejszą. Właśnie księgarnia Konstantego Treptego w Warszawie (Erywańska 16) owo francuskie wydawnictwo o wojsku polskiem otrzymała w komis i ogłasza przedpłatę.

Hance. Niestety — nie nadaje się do „Wsi i Dworu".

Kociowi. Bardzo ładne, ale zbyt młodociane.

P. W. Wol. w Żyt. Za fotografje serdecznie dziękujemy.

P. W. Mocz. w Kol. „Wiosna" nie nadaje się do „Wsi i Dworu".

Hr. S. Mišc. Wielokrotnie zaznaczaliśmy, że za umieszczenie fotografji i opisów z dziedziny sportu i hodowli żadnej opłaty nie pobieramy.

TREŚĆ ZESZYTU V i VI-go:

Dod. „SPORT i HODOWLA":

KILKADZIESIĄT ILUSTRACJI.

OD WYDAWNICTWA.

Dwutygodnik „Wieś i Dwór" z dodatkiem „Sport i Hodowla" wychodzić będzie w r. 1913 **dwa razy** miesięcznie, w początkach i połowie każdego miesiąca, pod redakcją T. Jaroszyńskiego, przy współudziale licznego grona ziemian i współpracownictwie piór pierwszorzędnych.

Tak więc, Czytelnicy otrzymają w ciągu roku **24** zeszyty wykwintnego wydania, w których znajdzie się **kilkadziesiąt** tysięcy wierszy tekstu i około **2000** ilustracji ze wszystkich dzielnic i dziedzin wsi naszej.

Zapowiedzianą pracę p. E. Maliszewskiego „O ordynacjach polskich" rozpoczniemy w przyszłym numerze opisem Ordynacji Nieświeżskiej.

Niewielka ilość kompletów z roku ubiegłego z ostatniemi pracami Ela jest do nabycia w redakcji po cenie rb. 2.50, z przesyłką pocztową rb. 3 za komplet.

Warunki prenumeraty dwutygodnika „WIEŚ i DWÓR"
łącznie z dodatkami „Sport" i „Hodowla":

w Warszawie:	rocznie . . . . . rb. 10 kop. —	z przesyłką	rocznie . . . . . rb. 12 kop. —
	półrocznie . . . . „ 5 „ —	pocztową:	półrocznie . . . . „ 6 „ —
	kwartalnie . . . . „ 2 „ 50		kwartalnie . . . . „ 3 „ —
zagranicą:	rocznie . . . . rb. 14		
	półrocznie . . . . „ 7		

Cena pojedynczego zeszytu **60** kop., z przesyłką i na stacjach kolejowych **75** kop.

Prenumeratę na „**Wieś i Dwór**" przyjmują urzędy pocztowe, wszystkie księgarnie i biura w kraju i zagranicą i Redakcja „**Wsi i Dworu**", **Marszałkowska 129**, w **Warszawie. Telefon 217-41.**

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem:		Po tekście:	
1 strona	rb. 120	1 strona	rb. 100
1/2 strony	„ 65	1/2 strony	„ 55
1/4 „	„ 35	1/4 „	„ 30
1/8 „	„ 20	1/8 „	„ 16
1/16 „	„ 10	1/16 „	„ 8

Okładka zewnętrzna tylko w całości 150 rb. Ogłoszenia na specyalnych miejscach o 25% drożej.

Wszelką korespondencyę zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną prosimy adresować: **Redakcya „WIEŚ i DWÓR" ul. Marszałkowska 129** (sto dwadzieścia dziewięć) **w Warszawie.**

Dla uniknięcia omyłek prosimy o dokładny adres.

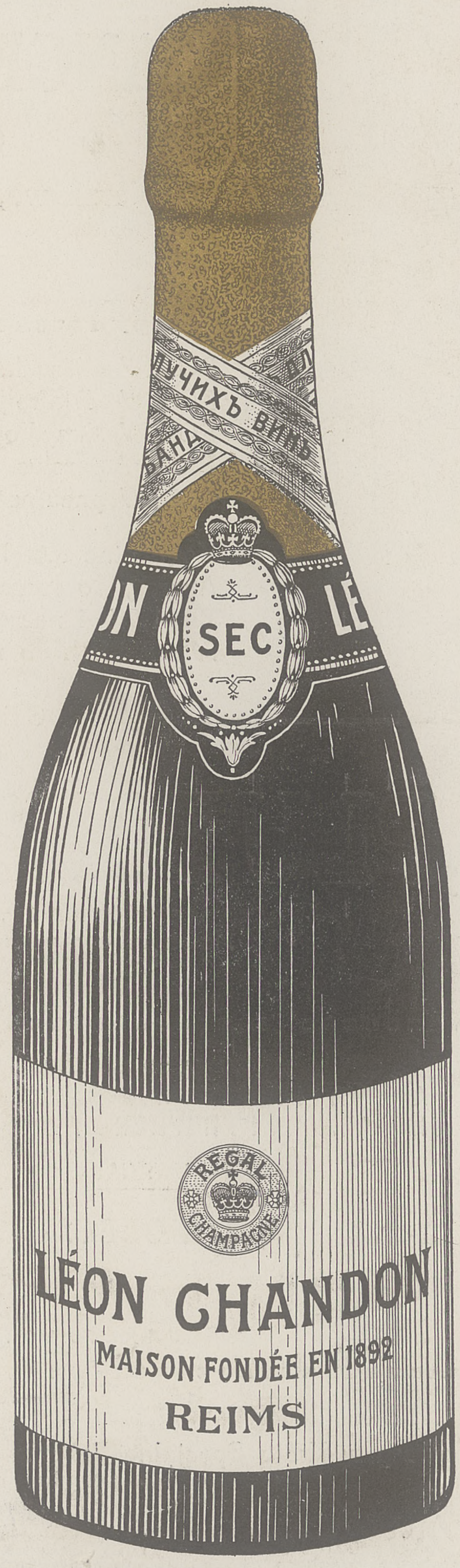
Redaktor: **T. Jaroszyński** Wydawca: **Bolesław Schoen**

Klisze i druk Zakł. Graf. A. HURKIEWICZ i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16.

PRZEDSTAWICIEL
NA KRÓLESTWO I CESARSTWO
DYSTYLARNIA „F. JANKOWSKI“
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 130.







Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka, w Warszawie, Marjensztadt 16.